



SEMPER FIDELIS

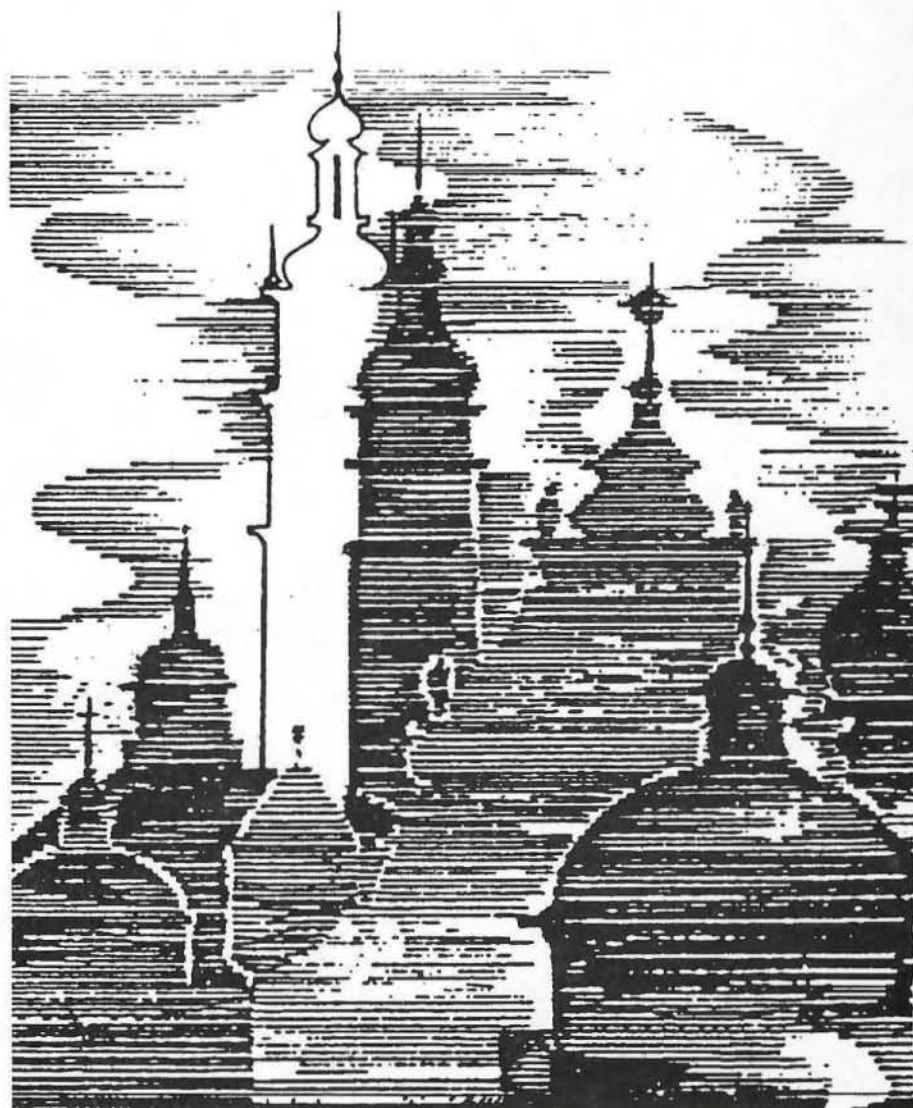
PL ISSN 0866-9414

LISTOPAD - GRUDZIEŃ
1995

6 (29) 1995

PISMO TOWARZYSTWA MIŁOŚNIKÓW LWOWA I KRESÓW POŁUDNIOWO—WSCHODNICH • WROCŁAW

*Podnieś rękę, Boże Dziecię,
błogosław Ojczyznę miłą!*



ROMAN ASLER	
Lwów — listopad 1918	1
JERZY MASIOR	
Wy, przebudzeni	2
DANUTA NESPIAK	
Tylko dialog	2
JERZY MASIOR	
Nad rzeką	3
WANDA PIETRUSKA, WOJCIECH SANKOWSKI	
Stanisław Pietruski — lwowski lotnik	5
J. BUŁAT	
„Linia Curzona”	7
WŁADYSŁAW ŚLEDZIŃSKI	
Konspiracja Obszaru III — Lwów	8
ZBIGNIEW MUCHA	
Mosty przez granicę	14
BOLESŁAW BROŚ	
Kazimierz Brończyk — zapomniany pisarz i wychowawca	15
LUDWIKA CASTORI-DĄBROWSKA	
Moi kochankowie (cd z poprzedniego numeru)	18
ZDZISŁAW J. ZIELIŃSKI	
Dwie fotografie	21
FRANCISZEK ZADEBERNY	
Wigilia 1943 w Kruhowie	25
KONRAD SURA	
Jeszcze o czerwcowych egzekucjach	28
Z. UMAŃSKI	
Święto pionierów podwrocławskiego osiedla w Wojnowie — pierwsi byli dublanie	28
Apele	31
Listy do redakcji	32
Z żałobnej karty	35
Wśród książek i czasopism	38

Na okładce: rys. Witold Szolginia

Redaguje Kolegium w składzie: Krzysztof BULZACKI, Wiesława JELEŃSKA-HOMBEK, Andrzej KAMIŃSKI, Danuta KOTOWICZ, Danuta NESPIAK, Zdzisław OJRZYŃSKI, Jerzy PETRYŃSKI, Leszek SAWICKI, Danuta ŚLIWIŃSKA, Danuta TABIŃSKA-JUHASZ, Jan ZIEMBICKI

Redakcja: Zdzisław OJRZYŃSKI, (red. naczelny), Jerzy PETRYŃSKI

Redakcja techniczna: Romuald LAZAROWICZ

Adres Redakcji: Zarząd Główny Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, 50-079 Wrocław, ul. Rуска 32/33 I p., skr. poczt. 1042 Wrocław 2, tel. 44-88-93

Wydawca: Fundacja Kresowa „SEMPER FIDELIS” — PKO IV O/Wrocław Nr 93549-10012-132-3

Prezes Fundacji: Danuta TABIŃSKA-JUHASZ

Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca. W publikowanych tekstach zastrzegamy sobie prawo dokonywania skrótów, zmian tytułów oraz poprawek stylistyczno-językowych.



Naszym Czytelnikom i Miłośnikom Kresów Wschodnich I i II Rzeczypospolitej oraz Tym, którzy popularyzują historię, bogate dziedzictwo tych ziem, budując więź między nami a Rodakami na Wschodzie

*— Redakcjom: „Gazety Lwowskiej”, polskiej prasy na Wileńszczyźnie, kwartalnika „Lwów i Kresy” w Londynie, Redakcjom „Kresów” w „Słowie — Dzienniku Katolickim” i w „Myśli Polskiej”, dodatku „Lwów, Wilno” w „Wieczorze Wrocławia”, „Gazety Kresowej” w Gliwicach, Redakcjom czasopism kresowych, z „Cracovia — Leopoli” i „Rocznikiem Lwowskim” na czele, oraz Wszystkim niosącym pomoc na Wschodzie — najlepsze życzenia z okazji Świąt Bożego Narodzenia i Nowego 1996 Roku
składa redakcja „Semper Fidelis”*

Obrona Lwowa w listopadzie 1918 r. Pan mgr inż. Roman Asler z Krakowa nadesłał nam krótkie wspomnienie z tych niezapomnianych chwil.

Lwów — listopad 1918

Wspomnienia z mojego udziału w bojach o Miasto Lwów łącznie z dzielnicami w listopadzie 1918 r.

Roman Asler

Miałem 15 lat gdy skończyła się I wojna światowa, ale nie skończyły się pretensje Ukraińców do polskiego od wieków Lwowa i Galicji Wschodniej.

Od 1 listopada rozpoczęły się działania wojenne w mieście i Lwów został zajęty przez Strzelców Ukraińskich, co trwało do 22 listopada 1918 r. Przypominam, że rozpad Monarchii Austro-Węgierskiej ułatwił Rusinom, bo tak ich wówczas nazywano, opanowanie dużego terytorium zwanego Galicją Wschodnią. Wprawdzie rok 1918 przyniósł Polakom upragnioną i wymodloną wolność, ale równocześnie wybuchły ambicje i dążenia wolnościowe, niepodległościowe i narodowe u Litwinów, Białorusinów i tzw. Ukraińców, co stało na przeszkodzie w organizowaniu i ustaleniu granic II Rzeczypospolitej. Przygotowania Ukraińców do walki okazały się sprawniejsze od naszych, gdyż brakło nam kierownictwa zarówno w układzie politycznym jak i wojskowym. Do obrony Lwowa przystąpiła spontanicznie ludność całego miasta, która zdobyła się na niespotykaną i niesłychaną ofiarną w tym krwawym trudzie żołnierskim. Kto tylko był zdolny do noszenia broni a przede wszystkim młodzież, nawet dzieci — chłopcy i dziewczęta potrafili zjednoczyć się pod hasłem „Nasze Polskie Miasto Lwów bronić będziemy aż do zwycięstwa” oraz trwałej przynależności do Rzeczypospolitej Polskiej.

Cała ludność miasta wynosiła w jesieni 1918 roku 194 tys. mieszkańców a obrońców było 6022, którzy brali udział w walkach — drugie tyle mieszkańców pomagało Obrońcom, żywiło ich, ubierało, chroniło rannych młodocianych niedoświadczonych żołnierzy. Ludność Polska wspaniale pomagała nam Obrońcom Lwowa.

Mając jak wspomniałem 15 lat, uciekłem z domu, a mieszkaliśmy wówczas przy ulicy Polnej, potem ul. Lwowskich Dzieci, bocznej od ulicy Leona Sapiehy. Byłem chory, z go-

rażką — skorzystałem, że moja Matka wyszła po zakupy żywności, wybiegłem z domu do mojej Szkoły Powszechnej im. Konarskiego i dołączyłem do grupy moich kolegów — było nas dwunastu.

Pierwsze zadanie bojowe to „Ogród Jezuicki” — mieliśmy między drzewami Parku przesuwać się w kierunku Dyrekcji PKP. Walki trwały wiele dni ze zmiennym szczęściem. Jednej nocy skierowano nas na cmentarz, gdzie bardzo się bałem i nawet chciałem uciekać, ale obowiązek zwyciężył — płakałem i wołałem Mamo, Mamo... Natomiast III — ci odcinek frontu, na którym walczyłem przez cały okres rozciągał się od Ogródu Jezuickiego po Kleparów na długości 3 km. Pierwszym moim zadaniem na tym odcinku była ochrona auta pancernego przeobrobionego w warsztatach kolejowych z auta ciężarowego, które zostało skierowane do zdobycia budynku Dyrekcji PKP zajętego przez Ukraińców. Miałem kroczyć za tym autem pancernym i w razie spotkania żołnierzy ukraińskich — strzelać. Niestety, auto to utknęło z powodu defektu i wówczas zostałem skierowany bezpośrednio do walki w Ogródku Jezuickim. I tak walczyłem na tym odcinku aż do czasu przybycia odsieczy.

Rodzice moi i rodzeństwo — dwie siostry i młodszy brat nic o mnie nie wiedzieli — zwłaszcza moja Matka żyła w trwodze i tylko się modliła prosząc Pana Najwyższego o opiekę nade mną.

W okresie Świąt Bożego Narodzenia przybył do Lwowa Wódz Naczelny Józef Piłsudski, który nazwał miasto nasze „jedynym obozem wojskowym”. W tym określeniu Komendanta zamyka się cała i pełna prawda o Obrońcach Lwowa w 1918 roku — w ten sposób uczcił Orlęta, synów i córki miasta Lwowa, którzy ginęli, ale obronili piękny Lwów.

Dla lwowskiej pamięci od Romana AS.

26.09.1995

Wy, przebudzeni

Którzy jesteście i wy, których nie ma,
Wy, którym znaki i którym poemat,
Wy niecierpliwi i wy już cierpliwi,
Wy sprawiedliwi i niesprawiedliwi,
Wy, w których piersi kolbami tępy —
Panno Łaskawa, uzał się nad nimi.

Wy, których czyn był ceną ocalenia,
Gdy dom odwieczny był do podpalenia,
Wy jeszcze senni już na barykady
I w te ulice, jak liści gromady —
Coście wybrani być ze snu — dzielnymi,
Panno Łaskawa, uzał się nad nimi.

Wyście w tę jesień, w ten lwowski Listopad,
Wy przebudzeni, bo świt was tu dopadł
Porannym zgiełkiem, krwi wezbranej szumem.
Wy za to Miasto i krwią i rozumem,
Za te kamienie, za piach, za garść ziemi —
Panno Łaskawa, uzał się nad nimi.

I wciąż wam trudno tę miłość zakończyć,
Słowo po słowie w krzyk wołania złączyć,
Że to dzielenie nie jest przyzwoleniem,
Że ta granica świata otępieniem,
Że tam zostali z imion nienazwani
Panno Łaskawa, uzał się nad nimi.

Tylko dialog

Danuta Nespiak

Polska istnieje w centrum Europy od roku 966 po Narodzeniu Chrystusa w bezpośrednim sąsiedztwie tych samych narodów na zachodzie i wschodzie, ale nie tych samych państw. Narody bowiem żyją nawet gdy nie istnieją ich państwa, co jak uczy historia, prowadzi zwykle do konfliktów wojennych.

Przeszło półwieczna czerwona władza w Polsce nie zniszczyła, choć nadszarpięła poczucie tożsamości narodowej, przymuszając do wyznawania tożsamości internacjonalistycznej, w podtekście sowieckiej. Byli tacy, którym to odpowiadało ideo-wo, ale większość wyznawców nowej tożsamości uległa jej z przyczyn oportunistycznych, oczywiście nie na początku, kiedy wykluwał się teherańsko-jałtański embrion, ale wówczas, kiedy rozwinął się on w naszą ludową Ojczyznę. Gorzkie i prawdziwe jest stwierdzenie B. Urbankowskiego, że nie było u nas poetów domagających się przyłączenia połowy Polski do hitlerowskich Niemiec, natomiast nie brakowało poetów chwalcących przyłączenie połowy Polski do Sowietów (zob. Czerwona msza albo uśmiech Stalina, W-wa 1995, s. 46). Nie warto wymieniać ich nazwisk, byli, przeminęli. Gruby lord z nieodłącznym cygarem w ręku jeszcze na konferencji w Teheranie szepnął min. Edenowi, że nie zamierzał kruszyć kopii o Lwów. Choć Churchill nigdy nie był w sytuacji, że musiałby kruszyć kopie o Londyn. A w polityce nie ma sentymentów, tylko interesy. Obowiązkiem polityków jest dbanie o interes narodu i państwa, obowiązkiem historyków i publicystów zajmujących się historią jest przekazywanie rzetelnej wiedzy o przeszłości narodu i państwa.

Specjalny wymóg rzetelności winien być spełniony w stosunku do dziedzictwa, tj. tych ziem i ich zasobów duchowo-materialnych i ludzkich, które się utraciło, gdyż jest to podstawą dialogu między obydwojema stronami — tej, która straciła, i tej, która zyskała. A dialog jest jedyną drogą rozstrzygania spraw spornych w naszym niespokojnym świecie.

Warunkiem rzetelnej analizy dziejów Kresów Wschodnich II RP, ich kultury, wiążącej elementy Wschodu i Zachodu jest

ujmowanie polskiego procesu historycznego w kontekście europejskim, gdyż europejski jest tam punkt odniesienia. Warto tu przypomnieć fragment listu Andre Malraux, francuskiego pisarza i polityka, ministra kultury Francji w latach 1959–1969 do redakcji paryskiej „Kultury”, który napisał: Jeżeli świat niedostatecznie rozumie Wasz dramat, dzieje się to, wydaje mi się, przede wszystkim dlatego, że uważa on kulturę polską za kulturę słowiańską, pokrewną kulturze rosyjskiej. Zapominając, że choć istnieje geniusz rosyjski, nie istnieje kultura rosyjska w tym sensie, w jakiej mówi się o kulturze narodów zachodnich: raczej więc skomplikowana i dwuznaczna z Bizancjum i że kultura polska związana ze światem łacińskim jest jedną z kultur Zachodu (Kultura nr 9/1955).

Na Kresach II RP istniał świat łaciński — był zawsze polski i europejski i ten świat przede wszystkim był brutalnie niszczone przez obie okupacje sowieckie i okupację niemiecką. A obecnie zmienia mu się rodowód przez gorliwych poprawiaaczy historii na litewski i ukraiński. A czy przez to nie deprecjonuje się trochę własnej kultury uważając, że ta łacińsko-polska jest lepsza, skoro się po nią sięga i zamiast Adama Mickiewicza mamy Adomasa Mickiewiczziusa. Mickiewicz był związany z Litwą wieloma niemi, tak jak duma Litwy, wielki kompozytor i malarz M. Ciurlionis był związany z Polską też wieloma niemi. W jego rodzinnym domu w Druskiennikach mówiło się po polsku, studiował w Konserwatorium Warszawskim, czytał Słowackiego, przyjaźnił się z Polakami, po polsku pisał listy do żony Litwinki, umarł w Polsce w 1911 roku i miał zaledwie 36 lat. W Polsce jego imię i nazwisko pisze się jak należy — Mikolajus Konstantinas Ciurlionis, bo nazwisko jest świętą własnością i nie należy je zawłaszczać.

W Polsce, w świecie środków masowego przekazu, wykrewowali się specyficzni znawcy tematyki kresowej — choćby jak np. poseł Unii Pracy A. Małachowski. Pod „europejskim parasolem” A. Michnika od lipca do

listopada br. w Gazecie Wyborczej prezentowano wypowiedzi, głosy, opinie wokół tematu: Wołyń, Szukanie prawdy. Sam naczelny redaktor zamknął ten cykl swoim podsumowaniem. Nie w tym rzecz, że prawdę autorzy wypowiedzi z obu stron, polskiej i ukraińskiej widzą gdzie indziej. Rzecz m.in. w tym, że A. Michnik najgorliwszy zwolennik wygaszania i niwelo-

wania postaw nacjonalistycznych udzielił łamów Wyborczej klasycznemu przedstawicielowi tejże orientacji, profesorowi K.P. Smijanowi z Uniwersytetu w Łucku, a innym rzetelnym naukowcom ukraińskim zamknął. Nie chodzi też o to, że tekst owego profesora pt. "Szowiniści z AK" jest na żenującym poziomie merytorycznym, nie prowadzi do żadnego dialogu, tylko do jeszcze większego zaognienia sprawy. Rzecz w tym, że wyłączono świadomie z obszaru dyskusji b. Małopolskę Wschodnią, gdzie miała miejsce zbrodnia działalności UPA, tak jak na Wołyniu. Czy tam, zdaniem redaktora naczelnego Wyborczej, nie trzeba szukać prawdy? W ten sposób czytelnik Gazety Wyborczej, a ma ona największą poczytność w Polsce, otrzymuje okrojony zasób wiedzy na temat jednej z najtragiczniejszych kart polskiej historii Kresów Wschodnich. Sytuowanie tego dramatu tylko na obszarze Wołynia zmniejsza nawet statystycznie, abstrahując od moralnego, rozmiar tej zbrodni. Czy o to chodzi, czy też będzie następny cykl o b. Małopolsce Wschodniej? W swoim podsumowaniu pt. "Rana Wołynia" (Gazeta Wyborcza z 10–12 XI br.) redaktor naczelny zaprezentował m.in. takie stanowisko, że Polacy mają obowiązek rozumieć ukraiński punkt widzenia, a polityka ukraińska wobec Polski winna być również nacechowana życzliwością i realizmem. Przykład tej życzliwości mieliśmy ostatnio bardzo specjalny — 20. XI br. zostali wydalen z Kolomyi dwaj polscy księża (ks. Piotr Buk i ks. Józef Trela). Wysunięto wobec nich absurdalny zarzut o szpiegostwo, nie przedstawiając żadnych rzeczowych dowodów i łamiąc prawo międzynarodowe.

Naczelny redaktor Wyborczej stwierdził też, że trzeba nam Polakom powtórzyć za ukraińskim historykiem "Nie ulega wątpliwości, że akcja Wisła zasługuje na surowe i bezwzględne potępienie". Adamowi Michnikowi nie nasunęła się uwaga, że zbrodnie ludobójstwa wobec cywilnej ludności polskiej (żydowskiej też) na okupowanym przez Niemców Wołyniu i Małopolsce Wschodniej też zasługują na co najmniej bezwzględne potępienie. Redaktor naczelny Gazety Wyborczej nie pro-

ponuje prawdziwego dialogu polsko-ukraińskiego, a jest on konieczny. On po prostu proponuje monolog, narzucając własne opinie, które stroną polską ustawiają z góry w pozycji rze- komego wiecznego winowajcy.

Grzechów pospolitych jako naród mamy sporo (ostatnio się niepokojąco zwiększyły o grzechy ciężkie jak: rozwiązłość, alkoholizm, narkomania) ale walcząc o niepodległość własną w I i II wojnie światowej nie popełniliśmy nigdy zbrodni ludobójstwa.

Aktualnie dla Polski najważniejszym problemem jest ustalenie terminu, kiedy Pakt Północnoatlantycki przesunie swoje granice na wschód. Z racji historycznych i geopolitycznych, Polska winna być dla NATO obszarem zainteresowania. Przyjęcie tego kierunku działania na wschód jest zakwestionowanie jednego z ostatnich relikwów układu jałtańskiego. Na razie czekamy. Jesteśmy po wyborach prezydenckich. Wyborcy podzielili się prawie pół na pół, bo 51,72% głosowało na Kwaśniewskiego, a 48,28% na Wałęsę. Pierwszy udaje socjaldemokratę, drugi pragnie, byśmy uwierzyli, że z ducha przekonania i działalności był zawsze po prawej stronie. Społeczeństwo jest zróżnicowane, ale w 1918 roku było ono zróżnicowane bez porównania bardziej niż dzisiaj, bo wyznaczały je podziały terytorialne zaborów, status prawny, społeczny i gospodarczy oraz przemieszanie z innymi grupami narodowymi i etnicznymi. Niepodległe państwo polskie powstało wówczas w cieniu zwycięskiej Ententy, w politycznej próżni po rozpadzie trzech zaborczych mocarstw i było ukoronowaniem świadomości narodowej, wysiłku i ofiary kilku pokoleń patriotów polskich, męstwa polskiego żołnierza i talentów politycznych ówczesnych przywódców. Dzisiaj niepodległość III RP w cieniu postkomunistycznej władzy ustawodawczej i w dużej mierze wykonawczej, przy prezydencie wychowanym i korzystającym kiedyś z czerwonych gabinetów peerelowskiego systemu władzy — trzeba z całą pokorą i ufnością polecić Opatrzności Bożej. Gloria in excelsis Deo w Polsce w roku 1996.

Pamiętanie, ale jakie

Nad rzeką

Jerzy Masior

Byłem ostatnio w Dobrowlanach. To taka mała wioska parę kilometrów za Chodorowem, w kierunku Dniestru. Przepływała tam ongiś rybna i młynna rzeka Ług spiętrzona dawniej groblą, po której dziś nikt nie ślady, a rozlewiska przed nią trzcinowe — nenufarowe zaniknęły prawie zupełnie. W ich miejsce rozpanoszyły się łąki. Na nich, we wrześniowej pogodzie niezliczone stada gęsi. Olśniewająco białych, bo ustawicznie kapanych w rzecę, o zadziwiająco wybijających szyszach, na fotografii z powodzeniem udają labędzie. A może te wioskowe, tutejsze gęsi jakieś inne? Kaczki od których na łące także ścisk — na pewno inne, bo wszystkie czubate, choć gospodarskie.

Dobrze mi zrobił ten wrześniowy, nieoczekiwany wypad do mojej wakacyjnej wioski. Leniwy zawsze Ług uspokaja. Uodparnia swoim beznamiętnym przepływaniem na niepokoję i wstrząsy dni nadchodzących. Wypełnia mnie uczucie, że jestem tu jak u siebie. Ale to trwa krótko, przecież tu nie pozostanę. Życie wpisałem i wpisuję gdzie indziej. Tylko tak mi dobrze z myślą, że u siebie... Pobyt tu, to zaledwie jeden krótki,

wrześniowy dzień: słoneczny, ciepły, już z napływającymi pasmami babiego lata, którym tu wszystko wolno. W tym dniu moi towarzysze kresowej podróży buszują po Krzemieńcu, Zbarażu i gdzieś tam na północy, a ja przycupnąłem wśród gęsi nad mulistym i podmokłym, poderwanym brzegiem, za hipnotyzowany wodą, niebem, łożami i ciszą. To Podole, które przetrwało. Za plecami pełzną ku nadrzecznej łące zwartą ścianą zieleni sady poutykane chatami. Tak, tak, te domy tutejsze to jeszcze chaty. Przetrwały. Poobijane jakimiś cywilizacyjnymi płatami tu i ówdzie wylakierowane, płytami falistymi ponakrywane, ale otulone wiśniowymi i gruszkowymi puszystościami. Broniące się przed czasem parkanami, wśród których tu i ówdzie zapada się zmurzona studnia. Pławie się w zieloności traw, ale czuję jak wiesz przygarnia mnie, wciąga. Trwam jeszcze nad wodą, ale wiem, że za chwilę tam pójde. Przedłużam łąkowy czas, bo dzień taki szybko się nie powtórzy. Może wcale. Chłonę więc z powietrza, z zieleni, z ocienionej toni rzeki całą zastość tego krajobrazu z pootwieranymi tu widnokrę-

Do rzeki każda strużka cieczy
czeremcha topi biel nad rzeką
a pamięć tutaj tylko pieczy
i tak tu blisko — tak daleko.

gami. Ta zastalność to sterczące z rzeki dębinowe pale — zakotwiczenie niegdyśiejszego młyna, jakiś most — imitacja tamtego mostu z przepływami pod nim dla nadmiaru spiętrzonej groblą wody. I jeszcze resztki grobli, która pogubiła się w zarostach i dzikich drzewinach. Przepływanie rzeki jest tu zwierzeniem. Sam się zresztą nieomal wszystkiego domyślam.

Bo Dobrowlany, rzeka, sterczące z toni młyńskie szczątki to przecież miejsce na ziemi najcudowniejszych, niezapomnianych wakacji, letnich i zimowych. Tutejszy dwór i jego tętniące porami roku życie wypełniały wtedy każdy dzień tak szczelnie, że nawet pragnień nie było. Dwór zamieszkiwali moi chrześni rodzice, pp. Stefania i Wacław Sadowscy. Ich syn — jedynek, Zbyszek, trochę ode mnie starszy gimnazjalista chodorowskiego gimnazjum, był wakacyjnym wodzem — miał pomysły. Grał ze swadą i talentem na fortepianie i na skrzypcach. Ponieważ ja też smyka się trzymałem i brałem lekcje u skrzypka lwowskiego teatru, więc wieczorami pannom wioskowym do tańca w gajówce różne tanga Milonga i Ostatnie niedziele wygrywaliśmy. Gajówka stoi do dziś, a Zbyszek — podchorążak zginął we wrześniu 1939 r. Do dziś nie wiadomo gdzie. Gdy znajomym o tym naszym wioskowym grywaniu opowiadam — nie wierzą. Udowodnić, że grać na skrzypcach niegdyś potrafiłem nie mogę, bo palce na starość sztywne. Wieś była ruska, dwór polski, a wieczorne tańcowanie w gajówce i takie i takie. I choć były to ostatnie lata przedwojenne, jakoś w tej wsi pomiędzy Rusinami, a dworem nie zgrzytało. Przynajmniej ja tego nie pamiętałem. Może to Zbyszkowe i moje grywanie łagodziło obyczaje? Coś z tego w Dobrowlanach do dziś pozostało, ale o tym potem.

Tamtejsza zima bywała jak wszystkie zimy i śnieżna, i mroźna. Już pierwszego dnia zimowych ferii wysiadłem na chodorowskiej stacji i gnałem saniami zaprzężonymi w dwa karecuganty przez wiadukt, nad torami, koło cukrowni, lasami i groblą do wsi. Przyjeżdżał po mnie na stację saniami jakiś Iwan, czy Wasyl, otulał nogi baranicą i hajda w biel. Ledwo pod dwór zajechałem, a już gnało mnie i Zbyska na narty. Teren był tu pagórkowaty, zwłaszcza za rzeką, gdzie teraz siedzę; śnieg kopny, zmrożony i myśmy przecierali pierwsze ślady. Wiejscy rówieśnicy jakoś do naśladowania nas nie spieszyli się. Nasze ślizgi kończyły się późnym zmierzchem. Do domu wracaliśmy przemarznięci do szpiku, a na dodatek do ówczesnych narciarskich strojów śnieg kleił się potężnie, więc nim nas do kuchni wpuszczono, było przeobrażanie się ze śniegowego bałwana w chłopaka co niemiara. Ciepło zimowej dworskiej kuchni. Mój Boże, cóż to było za ciepło! A na dodatek był to czas nadciągającej Willii i Bożego Narodzenia, więc niosły się kuchnią zapachy, a cała przestrzeń wokół pieca szumiała krzątaniem. Wszystkie następne dni bywały świąteczne, bądź narciarsko wypełnione. Rozlewisko przed groblą stało skute tęgim lodem, pod którym po odgarnięciu śniegu snuły się beztrwożnie wielgachne szczupaki i okonie. Cały ten śnieżno — nadwodny świat wypełniony był niepowtarzalną powolnością. W przestrzeni tej tu, najbliższej i tej tam, niebieszczej u widnokręgu rozsłana była powolność, bytowanie zaczarowane ciszą, jakby nieustannie świąteczną.

Nad skrytą pod okiściami szreni wioską, nad całym tym światem, który wtedy trwał, jakby danym mu była wieczność, rozpościerała się kulistość blasku i granatu ciemnego, pośród których wypatrywanie Betlejemskiej w wigilijny wieczór było gorączką biegania od okna do okna, odgarnianiem szydełkowych, w różę dzierganych firanek — zadyszka wielkiego oczekiwania...

I oto czynię wrześniowe posady w pół wieku później w tym miejscu, gdzie uprawiałem szalone szusy narciarskie z debrowatego wzgórza, hen, spod lasu na ten tu plachetek ośnieżonej

łąki. A teraz ta łąka — moja enklawa na kilka chwil pośród całego świata, więzi mnie swoją wrześnieją zielonością. Więc Barbara ponagla do pójścia na wieś. Zrobiło się wczesne popołudnie, a ja muszę tam jeszcze dotrzeć. Musimy obejść dwór od parteru po strych. Osierocony brakiem stodoł i stajni, wycięciem drzew i naznaczony politycznie żeliwnym parkanem w tryzuby (sic), trwa wybielony w smętku bezkwiecista. Jakby dla pomniejszenia obcości zjawia się niezwykle życzliwa mło-



Dobrowlany — w głębi Chodorów, rzeka Ług. Rys. autora.

da Ukrainka — kierowniczką szkoły. Bo we dworze teraz mini — szkoła. W dawnym salonie największa klasa. Wszystkiego 6 — 7 ławek. Biedniuteńkie to wszystko, zapyziałe. Ta szkoła, to coś nowego w strukturze wsi. Teraz w niej pusto — już po lekcjach. Idziemy do wyremontowanej cerkwi, którą nasza kierowniczką — cicerone wyraźnie chce się pochwalić. Bo cerkiew była jeszcze nie tak dawno, jak wszędzie tu, kolchozowym magazynem. Pogubiła przy remoncie swoją wiekową lirykę, ale to inny temat, z którym się nie zdradzam. Docieram do храму z przylączającymi się do nas na gościńcu staruszczykami wioskowymi. Przypominają mi parafinowe świece, które płoną i płoną. Po wsi poszedł hyr, że dziedzic przyjechał. To pewnie przez moją trochę jeszcze bujną siwiznę i ... młodość mojej towarzyski. Zrobiłem im zawód. Sprawiają wrażenie, że są tego dziedzica spragnieni. Tak jak onegdaj nasi dziadkowie i rodzice C.K. Austrii. Taka oczywistość, że człowiek prawie każdy potrzebuje swojej dawności. Sprawdzam się to pośród wioskowej drogi w Dobrowlanach. Już całkiem późną i gwiezdą godziną (jaka łaska niebios) opuszczam wieś. Ładą wuja kierowniczkę pojedę do Żydaczowa na hotelowy nocleg. Żaluję, że nie mogę skorzystać z miłych zaproszeń Nastii, ale już w następnym roku... W Żydaczowie spotkam się z moimi licealistami z Nowego Sącza. Dotarli tu wieczorem syci Oleska, Krzemieńca i dalekiej drogi przez Wołyń i Podole. Moja jednodniowa wśród nich nieobecność była upragnionym, choć krótkim zachłyśnięciem się zielenią i rzeką — nasłonecznioną młodością. Darowali mi ten dzień. Jestem im za to wdzięczny jak i ich dyrektorowi — poloniście, który radzi sobie wśród krzemienieckich wzgórz jak u siebie.

Wyjechałem znad rzeki otulony zawojami spokoju, uodporniony na nadchodzące dni, choćby nie wiem co miało mnie spotkać. To "nie wiem co" to ludzie i jeszcze raz ludzie. Wiozę dla nich stąd przekaz: wy wszyscy bliscy i dalecy, wy spolegliwi i nieprzyjaźni, wy ze strofami łagodności i z szumami pomysłów byle jakich, nieoczekiwanych, nieprzychylnych mnie, wielu i wszystkiemu co wartością zastała i sprawdzona, wy stamtąd i stąd — poszukujcie swojej rzeki, grobli, łagodności i narkotyku zieleni. Przystańcie, ułóżcie się utrudzeni na legowisku trawy, pod kępą olszyny kresów. Zapatrzeni w obłoki nad wami, tam, na tym waszym i tylko waszym miejscu nad wodą, wypełnieni słonecznie łagodnością i spokojem — odtajecie. Zatręsknicie na zawsze za tym miejscem.

Nowy Sącz, w listopadzie 1995

Stanisław Pietruski – lwowski lotnik

Wanda Pietruska, Wojciech Sankowski

Stanisław Marian Pietruski urodził się 6.07.1893 roku w Gródku Jagiellońskim w rodzinie Mariana i Wandy z Chojec-
kich. Razem z rodziną przenosi się do Lwowa, gdzie uczęszcza
do gimnazjum. Uzyskuje absolutorium na wydziale filozoficz-
nym Uniwersytetu we Lwowie.

W sierpniu 1914 roku wstąpił do I Brygady Legionów i
brał udział w walkach w szeregach legendarnej kawalerii le-
gionowej Beliny–Prażmowskiego. Po rozwiązaniu Legionów
w sierpniu 1917 roku Pietruski jako poddany austriacki zosta-
je wysłany na front włoski, gdzie dowodzi plutonem ułanów.
W lutym 1918 roku opuszcza szeregi armii austro-węgierskiej
i razem z innymi Polakami przybywa na początku listopada do
Krakowa. Tutaj docierają do niego wieści o ciężkich walkach
toczących się we Lwowie, które wybuchły po 1 listopada, kie-
dy to Ukraińcy niespodziewanie zajęli większą część miasta.
Wreszcie około 15 listopada razem z przyjacielem Tadeuszem
Surmińskim dociera pociągiem do Lwowa i zatrzymuje się u
rodziców Surmińskiego, ponieważ jego dom rodzinny znajdu-
je się w części miasta opanowanej przez Ukraińców.

„(...) W domu pp. Surmińskich przyjęto nas owacyjnie, ko-
lega mój był ich jedynym synem, a papa Surmiński był kolegą
mego ojca i znał go doskonale. Po rozlicznych czułościach i
bardzo obfitym śniadaniu obaj poszliśmy do łóżek, za nami
była cała wędrowka z frontu włoskiego, noce nieprzespane i
dużo bardzo uciążliwych i nawet groźnych przeżyć. Spałem
chyba 24 godziny, obudził mnie warkot motoru samolotu, sko-
czyłem do okna i ujrzałem samolot ze znakami polskimi leca-
cy nad Lwowem. A więc jest polskie lotnictwo! W mgnie-
niu się ubrałem i mimo sprzeciwów papy Surmińskiego wyszedłem na
miasto, aby wyszukać Komendę Obrony Lwowa. (...)”

Lotnicy narodowości polskiej, służący wcześniej w armii
austro-węgierskiej, działający w POW, opanowali lotnisko na
Lewandówce już 2 listopada wraz ze znajdującymi się tam sa-
molotami. Jedna z tych maszyn, wyremontowana i z zamalo-
wanymi znakami austriackimi, wykonała pierwszy lot bojowy
5 listopada i od tej pory z lotniska startowały samoloty ze wspar-
ciem dla walczących we Lwowie wojsk polskich. Powstała w
ten sposób jednostka lotnicza otrzymuje wkrótce nazwę — II
Eskadra Bojowa.

17 listopada Pietruski spotyka inżyniera Władysława Rub-

czyńskiego, kierownika warsztatów lotniczych na lotnisku i
wspólnie z nim udaje się do dowódcy eskadry — porucznika
pilota Stefana Bastyrę. Zostaje przyjęty do eskadry jako obser-
wator. W nocy z 21 na 22 listopada 1918 roku oddziały ukra-
ińskie zostały całkowicie wyparte z miasta. Do tego czasu Sta-
nisław Pietruski wykonuje dwa loty bojowe.

„(...) Już zbliżała się odsiecz Lwowa, prowadził ją pułk.
Tokarzewski. Przed jej przybyciem prawie cały Lwów był wol-
ny. Na moje udręczenie w dzień, kiedy Lwów został odbity i
mogłem moją rodzinę zobaczyć, musiałem lecieć na lot bojo-
wy i dopiero po powrocie z lotu i zdaniu służby mogłem wie-
czorem pójść do domu, by zobaczyć moich rodziców. (...) Oddziały pułk.
Tokarzewskiego otworzyły możliwość połącze-
nia kolejowego Przemyśl–Lwów. Przybyła też zaraz z Krako-
wa tak zwana III Eskadra, posiadała ona, o ile pamiętam, 3 czy
też 4 maszyny typu Oeffag, odmiany naszego Brandenburga.
(...)”

Pod koniec listopada do Lwowa przybywa formująca się w
Krakowie III Eskadra Bojowa i po połączeniu się z II Eskadrą
tworzą razem Lwowską Grupę Lotniczą pod dowództwem Ba-
styrę. W grudniu 1918 roku obie eskadry wykonują szereg lo-
tów bojowych wspierając oddziały polskie walczące z otaczają-
cymi Lwów Ukraińcami.

Oprócz typowych lotów (bombardowanie i rozpoznanie)
Pietruski dowodził obroną pociągu pancernego, którego budo-
wę zainicjowano w celu przebicia szlaku kolejowego ze
Lwowa do Przemyśla.

„(...) Plk Tokarzewski ze swoimi oddziałami opuścił Lwów
udając się pod Sokal. Koło ukraińskie znowu się zamknęło i
połączenie z Przemyślem zostało zerwane. Starano się o po-
łączenie utrzymać, w tym celu został zbudowany pociąg pancerny.
Zbudowały go warsztaty kolejowe pod kierownictwem prof.
inż. Bartla, dowództwo pociągu objął por. Klusik–Orzechow-
ski. (...) Na jego pierwszą wycieczkę lotnisko dało dwa karabi-
ny maszynowe pod moim dowództwem. Umieściłem jeden w
tylnym wagonie, a drugi w wagonie pierwszym przed lokomo-
tywą. Wyprawa wyruszyła wieczorem i skończyła się niespo-
dziewanie, bo po przejechaniu kilkunastu kilometrów natknę-
liśmy się na wyrwę w torze, na której idące na przodzie wago-
ny wykołczyły się. Ponieważ załoga jakoś w ciemności nie mo-
gła dać sobie rady, po paru godzinach powróciliśmy do Lwo-
wa. (...)”

Pod koniec grudnia na mocy rozkazu Dowództwa Wojsk
Lotniczych eskadry lwowskie otrzymały nową numerację. II
Eskadrę przemianowano na VI Eskadrę Lotniczą, a III Eska-
dra przybyła z Krakowa i otrzymała numer VII. Wkrótce obie
eskadry po połączeniu z V Eskadrą z Przemyśla utworzyły III
Grupę Lotniczą. W lutym 1919 roku wojska ukraińskie rozpo-
częły ofensywę dużymi siłami w kierunku Lwowa. Zła pogoda
znacznie wpłynęła na intensywność lotów. W tym okresie na
niebie zaczęły się pojawiać samoloty ukraińskie, co doprowa-
dziło do pierwszych walk powietrznych.

„... lecę z Cagaskiem na tak zwanej krowie C XII. Jest to
maszyna niemiecka dość szybka, ale mało zwrotna — ciężka
jak krowa. Jest pogodny, mroźny dzień. Robimy całe okrąże-
nie Lwowa. Raptem słyszę za sobą turkot karabinu maszyno-
wego, odwracam się i widzę, że mi na ogonie siedzi Nieuport
ukraiński i wali we mnie z karabinu maszynowego. Aż mnie
poderwało, zrzuciłem rękawice i zacząłem strzelać do nieprzy-
jaciela z odległości jakichś 60 metrów. Lotnik nieprzyjacielski
dostawczy w twarz całą serię, zamiast nurkować zaczął nas
przeganiać... (...) Teraz dopiero miałem okazję, serię po serii



Pierwszy polski samolot, który latał nad Lwowem 5 listopada 1918 r. Przy samolocie kpt. S. Bastyr, por. Wł. Toruń, por. Roland.

wlepiam w niego i tylko dziwiłem się, że on jeszcze żyje, bo strzelałem prawie do równoległego lecącego celu. (...) Nieupor był znacznie szybszy, wyleciał przed nas i zaczął zawracać, by nas zaatakować z lewej strony. Złapałem karabin maszynowy za rączkę, by go przerzucić po relsach na drugą stronę i w tym momencie cały karabin maszynowy rozleciał się, w ręku trzymałem tylko rączkę, a cały zamek zleciał na dół. (...) Ku mojej radości widzę, że coś i z nim jest nie w porządku. Wtedy zrozumiałem, że musiałem mu przestrzelić tank benzynowy i on musi się rozbić po locie ślizgowym. (...)”

Eskadry III Grupy Lotniczej były w tym okresie wyposażone w austriackie samoloty wywiadowcze Brandenburg i Oeflag oraz niemieckie Albatros C XII. Najczęściej były to egzemplarze bardzo wysłużone, wykazujące duże zużycie części i silników, co stawało się przyczyną licznych katastrof.

„(...) W tym czasie miałem wypadek lotniczy. Wystartowałem z Peterem na Brandenburg i zarazem po starcie motor stanął, mieliśmy jakieś dwadzieścia metrów wysokości przelatywaliśmy nad laskiem, który otaczał nasze lotnisko. Pilot próbował zawrócić, ale samolot utracił szybkość i runął na ziemię. Uderzył w nią najpierw skrzydłem i ono zamortyzowało całe uderzenie, ja uderzony bombą w brzuch i wyrzucony na piasek straciłem przytomność tak samo jak Peter. Gdy przyszedłem do siebie stali już nad nami koledzy, uderzenie bomby powodowało mdłości i wymioty. Bastyr, który na wiadomość o katastrofie nadbiegł, spytał mnie, jak się czuję. Czulem się już lepiej, więc mówię, że dobrze.

— No to siadaj na drugą maszynę i leć — rzekł Bastyr. Było to pociągnięcie psychologiczne, nie chciałem po katastrofie nabrać wstępu do latania. Wsadzono mnie do samolotu i musiałem zrobić lot. (...)”

W marcu 1919 roku wojska ukraińskie nadal z powodzeniem prowadziły natarcie. Ponownie została zerwana łączność kolejowa z Przemyślem. Powaga sytuacji zmusiła dowództwo naczelne do podjęcia zdecydowanych działań. Kontruderzenie wojsk generała Iwaszkiewicza wyprowadzone z Przemyśla doprowadziło do połączenia się z obrońcami Lwowa w dniu 20.03.1919 roku. W kwietniu kapitan Bastyr, dowódca III Grupy Lotniczej inicjuje nową taktykę użycia lotnictwa — loty grupowe wykonywane jednocześnie przez 6–10 samolotów. Pierwszy taki lot został wykonany 11 kwietnia w składzie 8 samolotów na Chodorów. Lotnicy zbombardowali dworzec kolejowy ze znajdującymi się tam transportami wojsk ukraińskich.

„(...) Robimy drużynowy lot do Chodorowa. Bierzymy bomby, by zbombardować dworzec kolejowy — 6 bomb z nowego, przesłanego nam transportu, bomby są pochodzenia niemieckiego. Dworzec w Chodorowie zatłoczony wagonami. Zrzucam bomby po kolei, jedna za drugą, z wysokości 900 metrów. Widać ich wybuchy, są w celu. Ale to jest moim zdaniem tylko akcja propagandowa, bo 6 maszyn, każda po 60 kg bomb, razem 360–380 kg, jest to ilość wystarczająca, by narobić strachu, ale nie, by zniszczyć duży dworzec. Wracamy jednak zadowoleni, bo bomby wybuchły i były w celu. (...)”

Loty grupowe kontynuowano przez kwiecień i maj, oczyszczając przedpole i osłabiając siły nieprzyjaciela przed planowaną na połowę maja wielką ofensywę wojsk polskich w Galicji Wschodniej i na Wołyniu. Z upływem dni maleje zdolność bojowa eskadry z powodu dużych strat w sprzęcie. Liczba lotów spada też na skutek złej pogody. Działania na froncie toczą się ze zmiennym szczęściem aż do 28 czerwca, kiedy to rusza decydujące natarcie wojsk polskich, doprowadzając w połowie lipca do ostatecznego zajęcia Małopolski Wschodniej. 1.09.1919 roku podpisano z rządem ukraińskim zawieszenie broni.

„(...) Wojna się skończyła, lotów było teraz bardzo mało. Eskadra się organizowała, jak i cała III Grupa Lotnicza. War-

sztaty nasze pracują nadal i do sprowadzonych z Wiednia motorów dorabiają całkiem nowe i bardzo dobre

Brandenburgi. III Grupa potrzebuje pilotów, mamy jeden szkolny aparat z dwoma sterami i zaczynamy uczyć obserwatorów na pilotów. (...) Uczy mnie Peter. Com się nacierpiał przy tej nauce, to na wołowej skórze by nie spał. Cały bowiem obolały, tak mnie prał linia po plecach, przeklinał po polsku i niemiecku. Wszystko to znosiłem, by tylko zostać pilotem. Lecz w końcu albo ja miałem duży talent, albo Franio uczył mnie dobrze, bo zrobiłem z nim tylko dwadzieścia tzw. dubli i już wypuścił mnie samego. Teraz z workiem piasku zamiast pasażera latałem sam, ćwicząc ciągle lądowanie i start. (...)”

Tak więc Pietruski zdobywa wreszcie szlify pilota. Eskadra przechodzi na nowe lotnisko do Tarnopola, gdzie względnie spokojnie spędza jesień i zimę. Okres ten staje się dla personelu okazją do odpoczynku. Następnym miejscem postoju eskadry jest lotnisko w Płoskirowie. Trwają przygotowania do mającej się niebawem rozpocząć operacji kijowskiej. Pod koniec kwietnia 1920 roku trzy polskie armie z wielkim impetem uderzają na pozycje bolszewickie. VI Eskadra wciąż borykająca się z trudnościami sprzętowymi wykazuje ograniczoną aktywność, mimo to jej piloci biorą udział w kilku spektakularnych akcjach razem z załogami pozostałych eskadr.

„(...) W tym czasie, pamiętnym dla mnie był lot na Wapniarkę, gdzie były trzy pancerne pociągi nieprzyjacielskie. (...) Był bardzo ładny dzień, widoczność doskonała. Po kolei nadlatujemy na stację kolejową, zrzucamy bomby na pociągi pancerne. Ponieważ mój obserwator był całkiem surowy, musiałem na niego uważać i przy każdym nalocie pokazywać mu kiedy ma rzucić bombę. Artyleria sowiecka ostrzeliwała nas bardzo ostro i trzeba przyznać, że celnie. Byłem tak zajęty celem, że nie patrzyłem zupełnie co robią inne maszyny. Raptem widzę, że aparat Bastyrę skrzył na południe i już jest bardzo daleko. Obejrzałem się i widzę, że jestem sam nad Wapniarką, a od strony mego lotniska nadchodzi zwarty front burzowy. Trzeba wracać, ale czy mam się przebić przez burzę, czy też próbować oblecieć ją od południa? Zdecydowałem się przez nią przebić, na oblatywanie nie miałem czasu. Zrzuciliśmy ostatnią bombę i skierowałem maszynę do powrotu. Wpadam najpierw w deszcz, potem w ulewę, lecę nisko nad lasem, rzucam strasznie, wokół błyskawice i pioruny. Lecę tak blisko pół godziny, wreszcie burza się kończy i widać nasze lotnisko. Lądujemy, z radości wykonuję cały szereg piruetów nad lotniskiem. (...)”

Była to jedna z ostatnich akcji bojowych Stanisława Pietruskiego. W czerwcu 1920 roku po powrocie z lotu otrzymuje rozkaz przeniesienia z Eskadry do Inspektoratu Wojsk Lotniczych w Warszawie. Tym samym kończy karierę pilota frontowego. Do tego czasu wykonał około 90 lotów bojowych.

W okresie międzywojennym zweryfikowany w stopniu kapitana pilota i przeniesiony do rezerwy. Zamieszkuje kolejno w Toruniu, Lwowie i Stanisławowie. Zmobilizowany we wrześniu 1939 roku nie zdążył wziąć udziału w

walce. Razem z personelem Bazy Lotniczej nr 4 ewakuował się do Rumunii i wkrótce przez Francję przedostaje się do Anglii i służy w Polskich Siłach Powietrznych. Bierze udział w organizacji zrzutów dla Powstania Warszawskiego.

Powraca do Polski w 1947 roku i razem z rodziną osiedla się w Dusznikach Zdroju. W 1950 przenosi się do Wrocławia. Stanisław Pietruski żył 78 lat. Zmarł we Wrocławiu 2.02.1971 roku, spoczywa na cmentarzu na Książu Małym. Odznaczony Krzyżem Orderu Virtuti Militari V klasy, dwukrotnie Krzyżem Walecznych, wieloma odznaczeniami polskimi, brytyjskimi i francuskimi.

W artykule wykorzystano fragmenty wspomnień spisanych przez Stanisława Pietruskiego w 1970 roku.

„Linia Curzona”

J. Bułat

Stosunkowo niedawno Telewizja Polska w głównych wiadomościach programu I, podała informację o tzw. „linii Curzona”, zaznaczając, również na przedstawionym schemacie, że linia ta w swojej południowej części przebiega wzdłuż Sanu. To umiejscowienie linii Curzona nie jest zgodne z prawdą, bowiem ani ta linia, ani inne linie demarkacyjne projektowane podczas wojny polsko-radzieckiej w latach 1919/20 nigdy nie biegły wzdłuż Sanu lub w pobliżu tej rzeki. Błąd Telewizji wynika z przyjęcia fałszywych ustaleń podjętych na konferencji jałtańskiej w 1945 roku.

Otóż na tej konferencji, podnosząc znaczenie polityczne tej przebrzmiałej już w historii linii Curzona, sformulowano zgoła fałszywy pogląd, że linia ta była w swoim czasie zaprojektowana nie jako tymczasowa, lecz jako ostateczna granica państwowa oraz że na odcinku południowym miała przebiegać wzdłuż względnie obok Sanu. W rzeczywistości było inaczej. Podczas wojny w latach 1919–20 wobec często zmieniających się sytuacji frontowych, proponowano stronom walczącym różne linie demarkacyjne jako tymczasowo obowiązujące podczas rozejmu wzgl. zawieszenia broni.

Po raz pierwszy taką linię zaproponowali zachodni Alianci w deklaracji z dnia 8 grudnia 1919, z wytyczeniem od północy ku południowi częściowo wzdłuż Bugu aż do punktu styku z dawną granicą austriacko-rosyjską. Tu wymieniona linia urywała się, a dalszy jej bieg był bezprzedmiotowy, ponieważ cały obszar ówczesnej Małopolski Wschodniej (dawniej Galicji), po zakończeniu wojny polsko-ukraińskiej, pozostawał w tym czasie w zasięgu administracji polskiej.

Jak wiadomo, wkrótce potem, po bezskutecznych próbach przełamania frontu w Małopolsce i dążenia do zajęcia Lwowa, wojska radzieckie poniosły druzgocącą klęskę na całym froncie i wycofały się z Polski. W marcu 1921 roku zawarty został traktat pokojowy w Rydze. Podejmowane podczas wojny postanowienia dotyczące rozejmów i linii demarkacyjnych, a więc też linii Curzona, którą zresztą w swoim czasie rząd radziecki odrzucił, nie miały żadnego praktycznego znaczenia dla rokowań pokojowych. Nie miały też żadnego znaczenia w układzie stosunków politycznych polsko-radzieckich w okresie międzywojennym. Przeszły do historii wojny. Odżyły jednak po 25 latach w sfalszowanej postaci, bo były potrzebne Stalinowi w jego jałtańskich przetargach.

Interesujące uwagi dotyczące projektowanych rozejmów i rozejmów pokojowych podczas wojny polsko-bolszewickiej w latach 1919–20, podaje Janusz Osica w książce pt. „Z dziejów Drugiej Rzeczypospolitej” opracowanej pod redakcją Andrzeja Garlickiego (Wydawnictwa Szkolne i Pedagogiczne, 1986, str. 66 i nast.). Czytamy tam m.in., że według projektu ustalonego przez Aliantów na konferencji w Spa w dniu 10 VII 1920 roku, linię rozejmu w Galicji (Małopolsce Wschodniej) miał wyznaczyć aktualny przebieg frontu walk, przy czym obie strony winny były na czas rozejmu odsunąć się po 10 km od linii frontu, pozostawiając między sobą strefę neutralną.

Dodać trzeba, co nie jest bez znaczenia dla sprawy, że kiedy na konferencji w Spa zapadały przedmiotowe decyzje, wojska bolszewickie znajdowały się jeszcze daleko...daleko od zaprojektowanej linii demarkacyjnej. Później, w miarę postępu ofensywy bolszewickiej, walki przesuwały się w kierunku Bugu, jednak w żadnym momencie od początku tej ofensywy, aż do jej zakończenia i odwrotu wojsk bolszewickich, front walk nigdy nie przekroczył linii na wschód od miast: Rawy Ruskiej, Lwowa, Stryja, Drohobycza, Stanisławowa i okolic tych miast. Kulminacyjnym dniem ofensywy radzieckiej był dzień 17. VIII 1920 roku, bitwy pod Zadwórzem (20 km na wschód od Lwowa) po której wojska bolszewickie rozpoczęły odwrot.



Mapa z książki N. Daviesa „Boże Igrzysko”

Podobne stanowisko odnośnie linii, nazwanej linią Curzona, szczególnie odnośnie południowego odcinka tej linii, zajmuje Norman Davies, (członek PAN), w wydanej książce „Boże Igrzysko — Historia Polski”, Tom II, cz. 1, rozdz. 21, str. 623–625. Autor książki, po omówieniu decyzji podjętej przez Aliantów w dniu 10. VII 1920 w Spa, ujawnia kulisy pewnych mistyfikacji w związku z przekazem tej decyzji rządowi radzieckiemu w następnym dniu, tj. 11. VII 1920 roku. Otóż w depeszy z Londynu do Moskwy podano linię Curzona w części południowej jako biegnącą wzdłuż Sanu, koło Przemyśla itd. Sprzeczność tej informacji z ustaleniem na konferencji w Spa powstała, według autora książki, bądź z prostego błędu, bądź z inspiracji ze strony nieprzyjaciół, a nawet wrogów Polsce, pewnych polityków brytyjskich. Zatem z przypadku lub złej woli, powstała zgoła fałszywa wersja linii Curzona w południowym odcinku.

Temat linii Curzona przez długie lata był w publicystyce i w omówieniach historycznych przedstawiony z dużą rezerwą lub nąginany do potrzeb cenzury. Teraz, gdy można mówić i pisać zgodnie z prawdą, stare nawyki nadal trwają. Dla przykładu podaję ową audycję telewizyjną oraz szczególnie rażący tekst hasła „linia Curzona” umieszczony w I tomie wydanej nowej Encyklopedii Powszechnej PWN. Czytamy tam, że...

„południowy odcinek linii Curzona miał być ustalony według linii frontu w dniu zawarcia rozejmu na wschód od Przemyśla, a na zachód od Rawy Ruskiej, Sambora, Borysławia do Karpat w rejonie źródeł Sanu, Dniestru i Stryja itd.”.

To sformułowanie hasła w nowej encyklopedii, w świetle przedstawionych wyżej okoliczności, zasługuje na miano bzdury. Ten, kto układał to hasło, nie tylko że przyjął ową sfalszowaną wersję południowego odcinka linii Curzona, zamiast prawdziwej wersji z 10. VII 1920, ale po prostu pomieszał Wschód z Zachodem i doszukał się frontu walk tam, gdzie w omawianym czasie żadnych kampanii wojennych nie było. W zakończeniu tego niefortunnego hasła podano, chyba dla uspokojenia czytelnika, że... „w wyniku decyzji w Teheranie i w Jalcie, linię Curzona uznano za podstawę wytyczenia powojennych granic Polski”. To sformułowanie jest trafne, ale po dodaniu jednego słowa: „sfalszowaną” linię Curzona.

Zaznaczam, że pisząc powyższe uwagi, nie zamierzam kwestionować granicy z Ukrainą. Chodzi mi tylko o właściwe określenie pojęcia „linii Curzona” zgodnie z prawdziwą decyzją konferencji w Spa w dniu 10. VII 1920 roku.

Konspiracja Obszaru III — Lwów

WŁADYSŁAW ŚLEDZIŃSKI

(Wojciech Myślenicki)

Przed wojną — jak powszechnie wiadomo — Polska była sanacyjna. Uragali jej wszyscy opozycjoniści. Dla jednych była za bardzo prawicowa, dla drugich — za bardzo lewicowa, jedni chcieli mieć Polskę Ludową, inni — narodową, a jeszcze inni nieliczni — socjalistyczną lub komunistyczną.

Nasi sąsiedzi, Niemcy i Rosjanie, też nie lubili w Polsce sanacyjnych rządów. Z pewną dozą szyderstwa można by powiedzieć, że było to zrozumiałe. W Niemczech były bowiem rządy „najliberalniejsze”, a w sowieckiej Rosji — „najdemokratyczniejsze”. O Polsce mówiło się tam niedobrze.

Ale najgorsze świadectwo sanacyjnym rządów wystawił nie jakiś Niemiec lub Rosjanin, lecz Francuz — ambasador Leon Noel (oryginalne imię i nazwisko — czyta się także wspak). Przybył do Warszawy w maju 1935, po uroczystościach pogrzebowych marszałka Piłsudskiego. Francję reprezentował wtedy marszałek Pétain i premier Laval, Niemcy — marszałek Goering, pechowi reprezentanci, po wojnie skazani na śmierć. Ale przed wojną były to słynne osobistości polityczne.

Słynną osobistością polityczną był także pułkownik Józef Beck, który już siódmy rok kierował resortem spraw zagranicznych. Od jego dyplomatycznych zdolności zależała pozycja Polski w stosunkach międzynarodowych, a zwłaszcza z Francją, z którą łączyła nas tradycyjna przyjaźń i pomyślnie zapowiadająca się sojusznicza współpraca na wypadek wojny. Niestety: stosunki Noela z Beckiem układały się konfliktowo.

FAŁSZYWE ŚWIADECTWO DYPLOMATY

W rok po wojnie, w 1946, Noel „dołączył świadectwo do księgi historii”, wydając w Paryżu książkę pt. „Agresja niemiecka na Polskę”. Rzecz z wielu względów ciekawa, także o jego politycznych koneksjach z generałem Władysławem Sikorskim. Ale najciekawsza chyba to, że jest relacją o jego nienawiści do przedwo-

jennego polskiego rządu.

Chwalił łaskawie Piłsudskiego i nie lubił piłsudczyków. Przyznawał, że Marszałek „miał niektóre cechy prawdziwego męża stanu, ale żaden z jego współpracowników nie dorósł do objęcia po nim schedy”. Prezydentowi Mościckiemu Konstytucja kwietniowa powierzyła rolę, do której nie był przygotowany. Rydzowi-Śmigłemu bieg wydarzeń narzucił zadanie, do których także nie był przygotowany. Premier Sławoj Składkowski to typowy żołnierz, prostak, absolutnie obcy polityce, dbający tylko o porządek zewnętrzny.

Demonem rządów sanacyjnych — w opinii Noela — był wszechwładny minister plk Józef Beck. Wychowanek i ulubieniec Piłsudskiego, bardzo wysoki, szczupły, elegancki, nienagannie grzeczny, choć szczylił się tym, że pochodził z rodziny wywodzącej się od holenderskich korsarzy... W rozmowie potrafił być miły, ujmujący, błyskotliwy, dyskusja z nim była trudna, przypominała starcia na florecie z mistrzem fechtunku.



Minister spraw zagranicznych plk Józef Beck (1894-1944)

Notka o Autorze

(pseudonim konspiracyjny „Nemo”)

Przedwojenny dziennikarz: kierownik oddziałów redakcji KURIERA PORANNEGO i POLSKI ZBROJNEJ kolejno w Kielcach, Białymstoku i w Krakowie. Od 1937 współpracownik redakcji lwowskiego WIEKU NOWEGO, DZIENNIKA POLSKIEGO i legionowego dwutygodnika WOLA I CZYN.

Od sierpnia 1939 roku jednocześnie z pracą w DZIENNIKU pełnił obowiązki kierownika oddziału PAT. Za okupacji sowieckiej (pod nazwiskiem Włodzimierz Łabędź) kierownik sklepu instrumentów muzycznych, a w konspiracji: redaktor komunikatów radiowych i powielanego tygodnika ZIEMIA LWOWSKA.

Za okupacji niemieckiej: w samodzielnej konspiracyjnej grupie legionistów, od 1942 szef Oddziału VI Sztabu Okręgu Lwowskiego AK (BIP i Walka Cywilna), redaktor tygodnika PRZEGLĄD POLITYCZNY I WOJSKOWY oraz dziennika radiowego pt. TU MÓWI LONDYN. Od lutego 1944 roku jednocześnie szef kontrwywiadu. Po „Burzy” przeniesiony do sztabu oddziałów leśnych „Warta”.

W PRL: szef propagandy w dolnośląskim Zrzeszeniu WiN i redaktor dwutygodnika WOLNOŚĆ. Od lipca 1946 roku pod nazwiskiem Wojciech Myślenicki — w planowaniu gospodarczym i w resorcie kultury.

W kierowaniu polityką zagraniczną korzystał z pełnego zaufania prezydenta i rządu. W przekonaniu Noela popełniał on jednak błędy, które trudno mu wybaczyć i które wzbudzały nienawiść, z jaką spotykał się w kraju i za granicą.

Jakie to były błędy? W Warszawie głośno o tym mówiono: Beck nie pozwalał mu szarogęsić się w swoim resorcie...

Jeśli przedwojenne poglądy Noela na polską politykę zagraniczną były identyczne z poglądami rządu francuskiego — nie zapowiadało to nic dobrego na czas wojny.

Noel ubolewał nad losem generała Sikorskiego, który „był osobistością bardzo wybitną (...) i posiadał zmysł polityczny prawdziwego męża stanu”, ale „od czasu zatargów z Piłsudskim był jakby banitą we własnym kraju”. Daremnie próbował wrócić z tej „banicji” do życia politycznego. Nie pozwolono mu na udział w pogrzebie Piłsudskiego (Noel „na własne oczy” widział pismo odmowne). W kampanii wrześniowej nie dostał przydziału służbowego, co było dowodem głębokiego konfliktu z marszałkiem Rydzem-Śmigłym.

Wypadałoby tu odpowiedzieć na pytanie: Czy przyczyną tego głębokiego konfliktu nie mogły być właśnie nazbyt przyjacielskie kontakty z Noelem, który tak naprawdę był bardziej ambasadorem przy generale Władysławie Sikorskim niż przy prezydencie Ignacym Mościckim.

W dniach wrześniowej klęski, ten mocno zarozumiały dyplomata, uchodząc z kraju zagrożonego zagładą, nie wiedział, że Fran-

cja, według jego późniejszych wypowiedzi „była także bliska zagłady”. Pamiętał jednak o winach swego kraju wobec Polski.

WSTĘP DO KONSPIRACJI

Następstwem wrześniowej tragedii, której wspólnymi sprawcami stali się nasi wschodni i zachodni sąsiedzi, był podział podbitego kraju „linią wspólnych interesów”. Po jednej stronie tej linii okrutnie panoszyli się najeźdźcy niemieccy, po drugiej — rosyjscy. Uczestniczyłem w zdarzeniach po tej drugiej stronie, stąd moje szczególne zainteresowania dniem 17 września i jego głównym bohaterem.

Nazywał się Siemion K. Timoszenko i był komendantem pierwszej rangi. To właśnie on 17 września, na czele Czerwonej Armii przekroczył sowiecko-polską granicę.

Po 17 września jeszcze trzy tygodnie trwały walki z Niemcami. Dzielnie bronił się Lwów.

W siódmym dniu walk o Lwów, 18 września wieczorem, dowódca okręgu korpusu, generał Władysław Langner, wezwał na odprawę „dowódców wszystkich samodzielnych jednostek i pulków”. Mówiono o kapitulacji miasta.



Generał dyw. Władysław Langner (1897–1972)

Uczestniczący w tej odprawie ppłk Jan Sokołowski, szef sztabu walczącej w obronie Lwowa 35 Wileńskiej Dywizji Piechoty, wypowiedział się przeciwko kapitulacji: „Zamiast kapitulować — powiedział — trzeba zdynamizować obronę”. Energicznie i stanowczo poparł go generał Januszajtis.

Dlatego przypominam epizod z udziałem tych dwu oficerów? Dlatego, że będą to pierwsi dowódcy lwowskiej konspiracji wojskowej. Zgodni z decyzjami walki, ale — jak wkrótce miało się okazać — skrajnie antagonizujący w poglądach politycznych.

Dowództwo Obrony Lwowa dwa razy dziennie wydawało komunikaty o działaniach wojennych (zachowały się wszystkie). W komunikacie z 17 września nie podano wiadomości o odprawie oficerów u generała Langnera. Pisano o walkach z Niemcami na odcinku północnym i nadsłuchaniu od wschodu kolumn sowieckich, które „zatrzymały się przed naszymi pozycjami oświadczając, że nie przychodzą we wrogich zamiarach i że zamierzają walczyć z Niemcami”.

W komunikacie z tego samego dnia — godzina 19, pisano: „Kolumny sowieckie, które nad ranem posuwały się pod nasze pozycje, wycofały się z przedpola. Stwierdzono w pewnych punktach postój kolumn sowieckich obok oddziałów niemieckich, co zadaje kłam zapewnieniom dowódców sowieckich, by mieli bić się z Niemcami. Nasze oddziały na odcinku północnym przeszły do natarcia (...). Młode bataliony ochotnicze Brygady Obrony Lwowa przechodzą chrzest bojowy” (...). Był to ostatni komunikat.

POW czy POWW?

W dniu kapitulacji Lwowa, 22 września, zaledwie miasto oparowały wojska sowieckie i z ulic zniknęli polscy żołnierze, powstała konspiracyjna organizacja wojskowa pod dowództwem generała dywizji Mariana Żegoty Januszajtisa.

Z dawnych czasów pamiętano go jako przywódcę nieudanego spisku, którego uczestnicy w nocy na 5 stycznia 1919 r. opanowali w Warszawie komendę Miasta, chcieli aresztować Piłsudskiego i

utworzyć „rewolucyjny rząd narodowy”. Teraz, w dwudziestą rocznicę tamtych wypadków, był nie mniej aktywny politycznie. Chciał stworzyć narodowe oddziały bojowe.

Długo trwał spór o nazwę tej organizacji. W późniejszej relacji generała Stefana Roweckiego, była to Polska Organizacja Wojskowa (POW), której sztab Lwów—miasto był pod kontrolą płk. Władysława Żebrowskiego, a Lwów—prowincja pod dowództwem generała Mieczysława Boruty-Spiechowicza. Ale, czy na pewno była to POW?

Pułkownik Jan Rzepecki, który pracował nad „zestawieniem obrazu konspiracji początkowej we Lwowie i oczyszczeniu go z nalotu błędów i sprzeczności wynikłych z niedoskonałości ludzkiej pamięci” napisał: O organizacji Januszajtis-Żebrowski akty londyńskie notują, że Januszajtis organizował POW (...). Ja nie wierzę, aby mógł użyć nazwy POW!!! Musiała to być mocna niewiara, jeśli wyraził ją aż trzema wykrzyknikami ⁽¹⁾.

Generał Januszajtis był tak wybitną osobistością Stronnictwa Narodowego, że trudno sobie wyobrazić, aby mógł przyjąć nazwę Polskiej Organizacji Wojskowej, działającej niegdyś z inicjatywy Piłsudskiego. Zachowały się jednak wiarygodne dowody, że nie była to POW, lecz POWW czyli Polska Organizacja Walki o Wolność.



Generał dyw. Marian Żegota Januszajtis (1889–1973)

OGON LEGIONOWO—SANACYJNY

W dniu kapitulacji Warszawy, 27 września, dowódca Armii „Warszawa”, generał dywizji Juliusz Rómmel, przekazał swemu zastępcy, generałowi brygady Michałowi Karaszewiczowi-Tokarzewskiemu otrzymane od naczelnego wodza, marszałka Rydza-Śmigłego pełnomocnictwo dowodzenia w wojnie z najazdem na całym obszarze Państwa”.

Jeszcze przed tygodniem, jako dowódca grupy operacyjnej, Tokarzewski uczestniczył w największej wrześniowej bitwie z Niemcami, potem — już jako konspirator — w licznych kontaktach z przedstawicielami polskich władz i stronnictw politycznych omawiał sposoby ratowania kraju i pracował nad ideowymi i praktycznymi podstawami organizacji wojskowej „o charakterze wojska czynnego”. Nazwał ją Służbą Zwycięstwu Polski (SZP). Miała podlegać każdemu legalnemu Rządowi Rzeczypospolitej i Naczelnemu Wodzowi”.

W trzecim dniu po kapitulacji Warszawy generał Władysław Sikorski został w Paryżu premierem, ministrem spraw wojskowych i naczelnym wodzem. Marszałek Rydz-Śmigły już dwa tygodnie był internowany w Rumunii. Tokarzewski mógł mieć złudzenia, że Sikorski uzna pełnomocnictwa Rydza-Śmigłego. Ale Sikorski nie uznał. Przed wojną byli antagonistami i teraz, gdy skończyły się rządy Sanacji — stali się jeszcze bardziej nieprzejednanymi.

Generał Sikorski, polityk raczej nieskłonny do kompromisów, zawsze w opozycji do Piłsudskiego, mógł się czuć zwycięzcą w upartej rywalizacji z piłsudczykami. Nie chciał ich mieć w swoim rządzie, na naczelnych stanowiskach w wojsku i administracji.

Paradoksalna rola przypadła w tych konfliktach generałowi Kazimierzowi Sosnkowskiemu. Legionista z Pierwszej Brygady, a nawet więcej, bo zastępca Komendanta, w rządzie Sikorskiego stał się antagonistą piłsudczyków i Sanacji. Pisał „największe trudności polityczne płyną z obawy, aby nie dopuścić do powstania od-

1) W liście z 9.09.1970 do ppłk. Jana Sokołowskiego (w zbiorach dokumentów córki, dr Bożeny Sokołowskiej).

skocznymi dla byłego sanacyjnego reżymu". Wprowadzać na kierownicze stanowiska w wojsku i administracji pilsudczyków to znaczyło „ciągnąć za sobą ogon legionowo-sanacyjny”.



Gen. broni Kazimierz Sosnkowski (1885–1969)

Ostrzegali Roweckiego: „Zwłaszcza w składzie dowództw i sztabów unikajcie osób związanych w przeszłości politycznie i aktywnie z rządzącą górą sanacyjną”.

Dlaczego tak bardzo nienawidził legionistów, pilsudczyków, sanacji? Można się domyślać wielu przyczyn, a wśród innych można także i tej najbardziej osobistej: że w 1935 roku nie on, a Rydz-Śmigły został marszałkiem... (byli prawie rówieśnikami).

SOWIECKI BOHATER WRZEŚNIA

W dniach 3–5 października generał Franciszek Kleeberg, dowódca samodzielnej grupy operacyjnej „Polesie”, stoczył pod Kockiem ostatnią bitwę z Niemcami.

Jeszcze w czasie tej bitwy, 4 października, odbyła się „na wiecu mas pracujących m. Lwowa” wielka manifestacja. W sali przepełnionej sowieckim wojskiem i cywilami, wśród których nie brakowało i polskich komunistów, przemawiał komandarm I rangi Siemion K. Timoszenko. Przypomnę fragment jego mowy. Timoszenko mówił:

„Towarzysze robotnicy, robotnice i pracujący! Towarzysze pracownicy umysłowi! Pozwólcie mi, jako dowódcy wojsk, ze szczerego serca i z głębi duszy naszego ludu (...) przekazać wam i w waszej osobie wszystkim pracującym nasze gorące czerwonoarmijskie pozdrowienia (burzliwe oklaski i okrzyki „hura!”). Wszyscy wstają!”.

Nasza robotniczo-włościańska Czerwona Armia, silna i potężna (burzliwe oklaski) składa się z ludzi uświadomionych noszących swoją broń, swój miecz, swoją siłę po to, aby zniszczyć ustrój podły, gnuśny i uciskający narody (burzliwe oklaski).

Ogromne, zmechanizowane oddziały, nasza konnica, a za nią piechota posuwały się w ciężkich warunkach terenowych po bezdrożach, do 110–115 kilometrów dziennie (oklaski). Takich marszów i walk nie zna dotąd historia wojen. Niektórzy zacofani ludzie tłumaczyli szybkie posuwanie się Czerwonej Armii brakiem oporu. Tak nie jest...

(...) Spójrzcie sami... Armia Polska, z niezdolnymi oficerami na czele, nie przygotowana do wojny, rozpadła się i rozbiegła po polach i lasach. Polscy oficerowie — niech mi wybaczą obecni — to talalajstwo (śmiech i oklaski) to bohaterowie balów i bankietów. Już pierwszego dnia działań wojennych uratowali swoją skórę ucieczką do Rumunii i innych krajów... (Wg tekstu z „Czerwonego Sztandaru”).

Co myśleć o takiej mowie? Na pewno dużo w tym samochwalstwa, pychy i arogancji. Ale najbardziej zdumiewający ton pogardy wobec tych nieszczęsnych oficerów, którzy przecież nie walczyli z wojskami sowieckimi. Wydaje się prawdopodobne, że ta szydercza mowa mogła być zapowiedzią ich późniejszej tragedii, a na pewno była wstępem do kariery Timoszenki, który w nagrodę za swój „sukces wojenny” został członkiem KC WKP(b), ludowym komisarzem obrony, marszałkiem i bohaterem ZSRR.

NA ROZKAZ TOKARZEWSKIEGO

Legionista i peowiak (działał w POW na terenie Rosji), pilsudczyk, a nawet — można by powiedzieć — superpilsudczyk, nie mógł liczyć na osobiste sympatie Sikorskiego i jego zwolenników.

Ale w wojsku, niezależnie od poglądów, sympatii i antypatii trzeba wydawać i wykonywać rozkazy. Tokarzewski także umiał rozkazywać.

W połowie października zameldował się u niego dowódca Warszawskiej Brygady Pancerno-Motorowej, płk Stefan Rowecki, który — po przegranej 19 września bitwie pod Tomaszowem Lubelskim — na rozkaz dowódcy Armii „Lublin”, generała Piskora, kazał zniszczyć sprzęt brygady i, po niefortunnej próbie przedostania się na Węgry, skrył się w podwarszawskich Olszynie, w dworku swej ciotecznej siostry.



Gen. dyw. Stefan Rowecki „Grot” (1895–1944)

Płk Rowecki prosił teraz generała Tokarzewskiego o pomoc w przedostaniu się do Francji. Generał zareagował stanowczo: „Pokazałem mu pełnomocnictwo od Rómmla i wydałem mu rozkaz zostania w kraju oraz objęcia stanowiska zastępcy i szefa sztabu w Służbie Zwycięstwa Polski, bez wahania i cienia sprzeciwu — usłuchał”.

Mieliśmy więc dowódców konspiracji. Czy byli to oficerowie z niezbędnymi do tego kwalifikacjami? Tak. Mieli także tradycje walk o wolność. Służbę wojskową zaczęli w Legionach (w 1914 Tokarzewski miał 21 lat, Rowecki 19). Młodzi, zdolni, ambitni. W niepodległym dwudziestolecu studiowali i awansowali. Byli także dobrymi kolegami. Chociaż politycznie nie zawsze się zgadzali. W zamachu stanu w 1926 roku, Tokarzewski stanął po stronie Marszałka, Rowecki zajął stanowisko neutralne.

Można się jednak domyśleć, że ten młody, wybitnie zdolny oficer był ulubieńcem Pilsudskiego. Gdy w lutym 1930 awansował go na dowódcę 55 pułku piechoty w Lesznie, „Roweckiego uważał to za osobiste wyróżnienie go przez Marszałka”. I chyba nigdy tego nie zapomniał. Dowodem — jego późniejsza, już w czasach okupacji, współpraca z legionistami i pilsudczykami wbrew intencjom Sikorskiego i Sosnkowskiego. Dowodem jest także jego zgoda na współpracę z generałem Tokarzewskim w Służbie Zwycięstwa Polski.

W drugiej połowie października, gdy Rowecki był już zastępcą komendanta głównego i szefem sztabu SZP, wspólnie — jak pisze Tokarzewski — „zmontowaliśmy sprawne funkcjonowanie Dowództwa Głównego”. Rowecki „wszedł w cały tok pracy”, a Tokarzewski ruszył w teren do miast — nie tylko wojewódzkich.

Pisał: „Wszędzie staram się stworzyć zawiązki dowództw, oprzeć je i powiązać z zawiązkami Rad Okręgowych, czy Powiatowych, omówić podstawowe zarządzenia i wytyczne zorganizowania pracy na danym szczeblu czy w lokalnych warunkach”. Wzorem miała być znana mu z własnych doświadczeń POW (Polska Organizacja Wojskowa), czemu jednak później, w sporach z antagonistami politycznymi, stanowczo, lecz najoczywiej z względów taktycznych — zaprzeczał.

SPORY O FAKTY I DATY

Pierwszy kontakt między komendą SZP a dowódcami lwowskiej konspiracji wojskowej nawiązał major Alfons Klotz.

Wspomina płk Jan Sokołowski: „W październiku 1939 przyjechał z Warszawy do Lwowa jako wysłannik generała Tokarzewskiego-Karaszewicza, major dyplomowany Alfons Klotz, który był moim dobrym kolegą z Wyższej Szkoły Wojennej (...) przywiózł mi od twórcy SZP konkretną propozycję objęcia dowództwa tworzącej się konspiracji wojskowej (...) wyraziłem zgodę wnioskując

Dowódcy lwowskiej konspiracji

Po kapitulacji Lwowa w dniu 22 września 1939 roku sowieckie rządy w tym mieście trwały 648 dni: do 30 czerwca 1941. Tyle też trwała konspiracja polskich organizacji wojskowych. Kierowało nią dwunastu dowódców:

- 1) Gen. Marian Żegota Januszajtis, lat 50
od 22.IX do 27.X 39 — 36 dni.
- 2) Płk Władysław Żebrowski, lat 56
od 22.IX do IV 40 — ok. 190 dni.
- 3) Płk Jerzy Dobrowolski, lat 60
od 22.IX do ok. 10.XII 39 — ok. 80 dni.
- 4) Gen. Mieczysław Boruta-Spiechowicz, lat 45
od 22.IX do 4.XI 39 — 44 dni.
- 5) gen. Michał Karaszewicz-Tokarzewski, lat 46
od X 39 do 6.III 40 — ok. 180 dni.
- 6) Mjr Alfons Klotz, lat 41
od X 39 do VI 41 — ok. 630 dni.
- 7) Ppłk Jan Sokołowski, lat 44
od X 39 do 30.VI 41 — ok. 630 dni.
- 8) Mjr Zygmunt Dobrowolski, lat 40
od X 39 do 29.X 40 — ok. 390 dni.
- 9) Ppłk Emil Macieliński, lat 47
od X 39 do 30.VI 41 — ok. 640 dni.
- 10) Ppłk Stanisław Pstrokoński, lat 42
od ok. 15.V do 21.VI 40 — ok. 37 dni
- 11) Płk Leopold Okulicki, lat 41
od 2.XI 40 do 21.I 41 — 80 dni.
- 12) Ppłk Adam Paszkowski, lat 48
od VII 40 do IV 41 — ok. 300 dni.

jednocześnie, żeby mjr Klotz był moim zastępcą i szefem sztabu”.

Historyk lwowskiej Armii Krajowej, Jerzy Węgierski, pisze o Sokołowskim: „Od listopada lub grudnia 1939 r. lub stycznia 1940 dowódca wojewódzki SZP”. Spróbujemy to uściślić. Służba Zwycięstwa Polski istniała w okresie między kapitulacją Warszawy a decyzją przemianowania SZP na ZWZ, czyli między 27 września a 13 listopada. Formalnie 47 dni. Później mogła istnieć tylko w intencjach generała Tokarzewskiego, który nie chciał godzić się z decyzjami niechętnych mu generałów Sikorskiego i Sosnkowskiego.

Podobnie o majorze Alfonsie Klotzu: że przybył pod koniec grudnia 1939 lub stycznia 1940. W aneksie, na stronie 327, Węgierski podaje nawet dokładną datę: 25 grudnia 1939 przybycie do Lwowa emisariusza SZP Alfonsa Klotza ⁽²⁾.

W tekstach wielu autorów powtarza się ten błąd. Generał Rowecki też napisał, że Klotz przybył do Lwowa w styczniu 1940 roku, wysłany z Warszawy przez Komendę SZP. Wtedy SZP nie istniała już prawie sześć tygodni. Rowecki pisał to rok później w ujęciu retrospektywnym ⁽³⁾. Mylił się na pewno.

Spór o daty chyba zakończył płk Jan Rzepecki, który w liście do ppłk. Sokołowskiego napisał: „Z dokumentów i zebranych materiałów wynika, że Klotz przyjechał do Lwowa już w październiku jako emisariusz generała Tokarzewskiego, komendanta Służby Zwycięstwu Polski (...) miał jakoby już w połowie października 39 zacząć prace organizacyjne, co nie przeczy Waszemu pogładowi, że współpracę z nim zaczęliście w listopadzie ⁽⁴⁾”.

W dniu kapitulacji Lwowa — Sokołowski, wykonując rozkaz

będącego w niewoli generała Langnera, poszedł na podstępnie zwołaną „odprawę” w Dowództwie Okręgu Korpusu i razem z przybyłymi tam oficerami, których rozbrojono i aresztowano, odbył pod konwojem oddziałów sowieckich pieszą i kolejową podróż w kierunku wschodnim. Nie dojechał jednak do tragicznego kresu tej podróży. W pobliżu Czortkowa, w lesie, udało się mu wyskoczyć z wagonu, po wielu dramatycznych przeżyciach wrócił do Lwowa i włączył się w nurt działalności konspiracyjnej.

KTO Z KIM — PRZECIW KOMU?

W listopadzie istniały już trzy organizacje konspiracji wojskowej, które łączyły wspólne tradycje walk niepodległościowych a dzieliły poglądy polityczne dowódców.

Generał Januszajtis oraz płk Władysław Żebrowski i mjr Emil Macieliński byli zwolennikami generała Sikorskiego, ppłk Jan Sokołowski i mjr Alfons Klotz byli legionistami, pilsudczykami, mjr Zygmunt Dobrowolski politycznie zbliżony do Sokołowskiego.

Pisał o nich płk Rowecki: „Pomiędzy organizacjami Sokołowskiego — Dobrowolskiego a organizacją Żebrowskiego istnieje odtąd stała rywalizacja. Zwalczają się różnymi środkami. Obie mianują się ZWZ. Wkrótce miało się zmienić. Mjr Klotz „zaczął pracę nad scaleniem organizacji wojskowych, tworząc jedną organizację wojskową z Sokołowskim na czele i Klotzem jako szefem sztabu”.

Ppłk Jan Sokołowski, uczestnik walk na Podolu w wojnie z bolszewikami w dwudziestym roku i w latach 1938–1939 zastępca dowódcy 48 pułku piechoty z Stanisławowie, czuł się mocno związany z tym obszarem. Chciał stworzyć wspólny sztab. Ale nie doszło do porozumienia. Żebrowski nie zgodził się na dowództwo Sokołowskiego i na majora Klotza jako szefa sztabu, a w opinii Sokołowskiego organizacja Żebrowskiego „miała charakter endecki i jak się później okazało były już w niej wtyczki NKWD”.



Płk dypl. Jan Sokołowski „Trzaska”
(1895–1986)

PRZYCZYNY KONFLIKTÓW

27 października aresztowano komendanta POWW, generała Januszajtisa. Działal podobno „zbyt głośno i zbyt niefrasobliwie”. Tydzień później, na granicy węgierskiej, aresztowano jego zastępcę, generała Borutę-Spiechowicza. Sztab POWW rozpadł się na sztaby dwu odrębnych organizacji pod dowództwem skłóconych pułkowników: Władysława Żebrowskiego i Jerzego Dobrowolskiego (ten drugi w końcu grudnia aresztowany lub zmarł).

10 listopada generał Tokarzewski wysłał do generała Sikorskiego meldunek z wiadomością, że Służba Zwycięstwu Polski ma swoje struktury w terenie okupacji sowieckiej i 14 grudnia wysłał kolejny raport o stanie organizacyjnym SZP — nie wiedząc, że już przed miesiącem generał Sikorski stworzył Związek Walki Zbrojnej, likwidując tym Służbę Zwycięstwu Polski.

2) J. Węgierski: „Lwów pod okupacją sowiecką 1939–1941” Edition Spotkania, 1991.

3) Meldunek organizacyjny nr 79 z 1 stycznia 1941. AKD T. 1 s. 114

4) List z 9.IX 1970, w domowym archiwum córki ppłk. Jana Sokołowskiego, dr Bożenry Sokołowskiej.

General Tokarzewski nie przestał jednak spełniać obowiązków komendanta SZP. Rozkazy jego dochodziły też do Lwowa. Oprócz podporządkowanej mu lwowskiej SZP pod dowództwem Sokołowskiego z szefem sztabu Klotzem, oraz częściowo podporządkowanej grupy Zygmunta Dobrowolskiego — istniały tam niepodporządkowane mu ze względów politycznych grupy Żebrowskiego i Macielińskiego.

General Kazimierz Sosnkowski, już jako komendant główny ZWZ w Angers, najwidoczniej wskutek fatalnie funkcjonującej łączności z krajem, nie wiedząc o aresztowaniu Januszajtisa, wyznaczył go na komendanta Obszaru Nr 3 (potocznie nazywanego lwowskim). Nominacja ta wyraźnie wskazywała na tendencje polityczne najwyższych władz państwowych i była jak gdyby zapowiedzią konfliktów nie tylko zresztą w organizacjach wojskowych.

W ostatnich dniach grudnia przyjechał do płk Roweckiego kurier z wiadomością, że „Komenda Główna ZWZ jest już gotowa od końca listopada w Angers i będzie dowodzić w kraju wprost z Francji” (tak łatwo to sobie wyobrażano!). Tokarzewski — jak sam pisze w relacji „U podstaw tworzenia Armii Krajowej” — otrzymał „świsstek papieru z rozkazem: Udacie się natychmiast do Lwowa objąć tam dowództwo Obszaru Nr 3”.

Wykonując ten rozkaz, Tokarzewski musiałby zająć stanowisko swego podkomendanta, dowódcy okręgu lwowskiego ppłk Jana Sokołowskiego, który faktycznie spełniał obowiązki komendanta Obszaru, a poza tym — zmieniły się role: niedawny główny komendant SZP w randze generała miał być podporządkowany swemu szefowi sztabu, pułkownikowi Roweckiemu.

WIELKA AFERA POLITYCZNA

W „meldunku do centrali (5)” (Stefan Rowecki, już jako komendant główny ZWZ w randze generała, przypominał słynną afere „niejakiego Strowskiego Tadeusza”).

Wiedzano o nim, że „będąc legionistą w stopniu plutonowego, zmobilizowany w 1939, przybył do Lwowa i zameldował się w dystynkcjach majora. Potem, już w Paryżu — korzystając z wysokiej protekcji „uzyskał stopień podpułkownika i ważną funkcję”. Z tą funkcją przybył w grudniu 39 roku do Lwowa i chciał się spotkać z generałami Januszajtisem i Andersem, ale pierwszy z nich był aresztowany, drugi — ranny przebywał w szpitalu.

Niezrażony tymi trudnościami Strowski skontaktował się z majorem Dobrowolskim i pułkownikiem Żebrowskim, przedstawił im szyfrowane instrukcje podpisane przez Naczelnego Wodza i generała Sosnkowskiego w sprawie utworzenia organizacji wojskowej i w rezultacie „pomyślnie” zakończył misję. Płk Żebrowski „przyjął z jego rąk instrukcję i nominację na komendanta Obszaru ZWZ, oraz złożył na jego ręce przysięgę”.

Działo się to w okolicznościach, gdy komendantem Obszaru — już od 4 grudnia — z nominacji generała Sikorskiego był generał Tokarzewski.

Wniosek z tego raczej zrozmiał. Strowski miał nie dopuścić generała Tokarzewskiego do objęcia tego stanowiska, trochę się spóźnił, przybył po nominacji, ale misję spełnił. Nie wiadomo jednak, kto go przysłał i wyposażył w najpewniej sfalszowane instrukcje z podpisami generałów Sikorskiego i Sosnkowskiego.

Tajemnicza misja Strowskiego skończyła się kompromitacją i katastrofą. Zagrożony aresztowaniem płk Żebrowski postanowił uciekać za granicę. W drodze został zdradzony przez przewodnika i rzekomo „zabity w celach rabunkowych”. Strowskiego i jego żonę aresztowano na granicy.

Dlaczego przypominam to zdarzenie? Tylko dlatego, że w kalendarzu politycznym Jerzego Węgierskiego „niejaki” Tadeusz Strowski jest „emisariuszem generała Sikorskiego”. Fakt, że ppłk Sokołowski i mjr Dobrowolski nie chcieli z tym „emisariuszem

rozmawiać, zarzucając mu, że jest zwyczajnym oszustem — Węgierski z był lekceważąco: „informacje pochodzące od Klotza i Sokołowskiego mogły być tendencyjne”.

Zdaniem Jerzego Węgierskiego, objęcie przez płk. Żebrowskiego „funkcji komendanta Obszaru musiało być bardzo niewygodne dla ambicji płk. Sokołowskiego, którym — po uznaniu instrukcji — nie pozostawałoby nic innego, jak podporządkować się płk. Żebrowskiego i utracić dopiero co uzyskane dla siebie stanowiska w przestającym istnieć SZP”. Prawdziwe w tym zdaniu jest tylko pomieszenie z poplątaniem.

W ASPEKcie HISTORYCZNYM

31 grudnia minęło okragle sto dni od kapitulacji Lwowa. Jakoś przypadkowo to spostrzegłem i sprawdziłem. Rzeczywiście — sto dni!

Dużo w tym czasie było bolszewickich podłości i niespełnionych polskich nadziei. Dużo też niepowodzeń w naszych organizacjach konspiracji wojskowej. Wtedy było to wielką tajemnicą. Nie znano nazwisk dowódców i przyczyn konfliktów. W obiegu dużo było sensacyjnych wiadomości, insynuacji, oskarżeń, oszczerstw, na pewno — i dywersyjnych.

Nie wiedzieliśmy, że główną tego przyczyną były antagonistyczne stosunki między generałami Sikorskim i Tokarzewskim.

Obaj znali to miasto nie tylko jako dawni dowódcy okręgu korpusu. Sikorski od 1925, Tokarzewski — dwanaście lat później. Pierwszy z nich utrwalił się w pamięci potomnych tym, że w maju 1926 nie pośpieszył z wojskiem na pomoc Piłsudskiemu, drugi — jako osobistość bardzo popularna w działalności społecznej.

Przypomnę jeden z epizodów tej działalności...

W sierpniu 1937, z inicjatywy Generała Tokarzewskiego Zarząd Okręgu Związku Legionistów zaczął wydawać dwutygodnik organizacji niepodległościowych pt. „Wola i Czyn”. Redaktorem był polityczny publicysta „Wieku Nowego” Adam Nechay. Zespół redakcyjny składał się z trzech posłów, dwóch senatorów, z kilku naukowców i dziennikarzy. Starsi lub w średnim wieku byli legionistami, młodszy — ideowymi ich zwolennikami. Ja w tym towarzystwie byłem najmłodszy.



Gen. broni Michał Karaszewicz Tokarzewski (1893–1964)

Zebrania komitetu redakcyjnego odbywały się co dwa tygodnie w Związku Legionistów (Kopernika 42a). Przewodniczył generał Tokarzewski w eleganckim mundurze z akselbantami i orderami. Na pierwszym zebraniu wygłosił przemówienie programowe „Dwutygodnik, który będziemy wydawać — powiedział (i później było to wydrukowane) — służyć ma zespoleniu wszystkich rodaków wierzących i wyznających ideologię. Czynu 6 Sierpnia 1914 roku. Szukanie bowiem coraz to innych ideałów i beznamiętność naśladowania wzorców hitlerowskich i komunistycznych trwają w Polsce Niepodległej już za długo i nadszedł czas nawrotu do wielkich wartości naszej własnej kultury”.

Stenografując to przemówienie ciekaw byłem, czy powie, jak

ma być urządzona ta ukochana Polska według ideologii Czynu 6 Sierpnia. Ale generał, znany zresztą idealista i trochę mistyk, nie konkretnego nie powiedział. Musiało wystarczyć, że pragnął, aby urządzona była najlepiej.

W pierwszym numerze „Woli i Czynu”, w pierwszym zdaniu artykułu wstępnego pt. „W rocznicę 6 Sierpnia” napisał: „W dwudziestolecie tego roku, w którym na święto rocznicy 6 Sierpnia może najgroźniejsze, najbardziej wrażliwe kładły się cienie, zaciągamy nową placówkę w służbie ukochanej przez nas Sprawy”. Artykuł podpisał pseudonimem: M. Karasiewicz. Ale wszyscy wiedzieli, że to był Michał Karaszewicz-Tokarzewski.

Czy po takich patriotycznych deklaracjach wygłaszanych na publicznych zebraniach i publikowanych w prasie — właśnie on, powszechnie tu znany nawet jeszcze z Odsieczy w listopadzie 1918 roku, powinien być wysyłany jako komendant konspiracyjnej organizacji wojskowej do miasta opanowanego przez wojska sowieckie? Na pewno łatwo byłby rozpoznany. Ale rozkaz generała Sikorskiego był wyraźny.

Przypomnę jeszcze, że dawne koneksje Sikorskiego z tym okręgiem wojskowym zostały utrwalone w dużej księdze oficerów w karykaturach Zdzisława Czernańskiego. Narysował go w pozie, przypominającej Napoleona. Teraz był Naczelnym Wodzem.

Oficer, nawet w randze generała, w politycznym konflikcie z Naczelnym Wodzem, raczej nie mógł się spodziewać, że będzie wygrany. Tokarzewski przegrał. Ale nie w aspekcie historycznym...



Gen. Władysław Sikorski
w karykaturze Zdzisława
Czernańskiego

BEZ DOWÓDCÓW I ROZKAZÓW

Zaczął się piąty miesiąc wojny — styczeń 40 roku. Nie było powodów do optymizmu. Na zachodzie — wojna jakby nie-wojna. W komunikatach sztabowych wiadomości tylko o zwiadowczych lotach myśliwców, o nielicznych bombardowaniach i wymianie artyleryjskiego ognia. W komentarzach prasowych i w rozmowach usprawiedliwiano to mroźną zimą i wierzono, że na wiosnę ruszy potężna ofensywa.

W mieście, potwornie przepelnionym uchodźcami i sowieckim wojskiem, Polacy dotkliwie przeżywali wrześniową klęskę. Wielu ukrywało się oficerów, pracowników administracji państwowej, uczestników dawnego życia politycznego. Każdy czuł się zagrożony i każdy kto mógł złapać kontakt — angażował się w konspirację.

Ktoregoś dnia odwiedził mnie Marian Jędrzejewski, późniejszy komendant Dzielnicy Północnej (znaliśmy się sprzed wojny). Opowiadał, że spotkał znajomego studenta politechniki, łatwo się dogadali, złożył przysięgę i dostał dwa punkty kontaktowe z hasłami i znakami rozpoznawczymi: w dni parzyste okno przysłonięte

firanką, w nieparzyste — kwiatek z lewej strony okna... W jednym z tych lokali spotkał kuriera z Węgier. Ale wkrótce obydwa lokale zostały spalone i łączność się urwała.

— Nie narzekaj, że się urwała — powiedziałem. — Masz łączność ze mną, ja mam z innymi, inni — jeszcze z innymi. W jednym miejscu łączność się urywa, w drugim nawiązuje.

Jeśli ktoś chciał coś załatwić, a sam nie mógł, to zwracał się do kogoś znajomego, ten załatwiał, albo — jeśli nie mógł — zwracał się do kogoś ze swoich znajomych, tamten — jeśli nie mógł — znów do swoich, aż wreszcie znalazł się taki, który ułatwił lub załatwił.

Polacy w stanie zagrożenia bywali nad podziw przyjacielscy i uczynni. Strach wzmagał poczucie solidarności. Gorączkowo szukano dojsć, żeby się dowiedzieć o los jakiegoś rannego, do więzienia — żeby przekazać więźniowi wiadomość lub paczkę, do Wojsenkomatu — żeby zwolnić kogoś z wojska, do NKWD — żeby ratować zabraną w nocy rodzinę. Czasem pomagał lekarz, czasem pielęgniarka, sanitariusz, strażnik, albo jakiś cwaniak, który za forszę, za drogi zegarek lub coś z biżuterii umiał się gdzieś dogadać nawet w trudnej sprawie. Dla ludzi zagrożonych aresztowaniem starano się o lewe dokumenty, o lokale, w których mogli się ukrywać.

To także była konspiracja, może nawet trudniejsza od tej późniejszej, zorganizowanej. Konspiracja — bez dowódców i rozkazów.

Tworzyły się grupki przyjaciół, kolegów, znajomych, wymieniano wiadomości, przekazywano sobie jakieś biuletyny. Za wydawanie i kolportowanie nielegalnych pisemek groziła kara śmierci. Jednak odważnych raczej nie brakowało.

BŁĘDNY RYCERZ SANACJI

Kurier z Angers, który 1 stycznia przekazał generałowi Tokarzewskiemu rozkaz natychmiastowego udania się do Lwowa „ustnie nastawał — nalegał, że to „natychmiast” rozumie się w ciągu trzech dni”. generał rozumiał to po swojemu: „wyjazd w ciągu trzech dni był niemożliwy”, a poza tym „nasza doktryna dyscypliny uprawiała mnie do decydowania tego samego”.

(...) „powiedziałem, że rozkaz wykonam, proszę tylko, aby — o ile nie ma szczególnych powodów do przeniesienia mnie właśnie do Lwowa, a Naczelnym Wodzem nie ma z jakichkolwiek swoich względów zaufania do mnie, jako dowódcy w kraju — pozwolono mi zostać, czy jako zastępcy i szefowi sztabu u Grota, czy jako komisarzowi cywilnemu (...)”.

Nie mógł zrozumieć, że po klęsce wrześniowej, w okolicznościach kształtowania się władz zarozumiałej i mściwej opozycji stał się błędnym rycerzem Sanacji, oskarżanej o wszystkie nieszczęścia kraju. Ale nie chciał ustąpić, chciał „oddać Grotowi dowodzenie obszarem warszawskim, a zatrzymać tymczasowo ogólne dowództwo”. Nie zatrzymał.

Przypominał, że jeszcze w październiku uprzedzał Roweckiego: „liczę się z możliwością chęci zlikwidowania mnie przez nasze władze”. Prosił „aby ustawiał się w pracy w sposób, któremu nie łatwo by było przyczepić łatkę czy „sanacyjności” czy „lewicowości”, aby — gdy mnie usuną — podtrzymać ciągłość postawy i koncepcji, zabezpieczyć dowodzenie przed „partyjnikami” czy wygodnymi figurantami”.

Rowecki był dobrym kolegą, szczerze mu sprzyjał, ale musiał wykonywać rozkazy Sikorskiego i Sosnkowskiego, którzy go nienawidzili. Nie był to bowiem politycznie „rycerz bez skazy”. Pamiętano mu sporo grzechów po majowym zamachu stanu, gdy był szefem departamentu personalnego Ministerstwa Spraw Wojskowych.

Do Lwowa, najpierw — ze względów bezpieczeństwa — miał jechać płk Klemens Rudnicki, jako szef sztabu i po dziesięciu dniach — generał Tokarzewski.

cdn.

Mosty przez granicę

Zbigniew Mucha

W grudniu 1939 roku uczęszczając jeszcze do gimnazjum w Nadwórnej, otrzymałem wiadomość, aby odwiedzić proboszcza naszej parafii ks. Józefa Smaczniaka. Był on prefektem w naszej szkole. Widocznie miał do mnie dużo zaufania, skoro po krótkiej rozmowie zaproponował mi dostarczanie poczty kurierskiej z Nadwórnej do Bitkowa, jak również przeprowadzanie na tej trasie osób, przeważnie uciekinierów. Były to osoby zagrożone aresztowaniem przez sowieckie NKWD. Punktem kontaktowym w Nadwórnej było probostwo i jej proboszcz, natomiast w Bitkowie dom zamieszkały przez p. Szmidową i jej córkę. Jednym z pierwszych, którzy wielokrotnie przekraczali granicę na trasie Lwów-Nadwórna-Bitków-Budapeszt był kurier por. Stanisław Rokicki pseudonim „Stach”, o którym pisze w swej książce „Emisariusz Jur” Jerzy Lerski.



Por. Stanisław Rokicki

Ze „Stachem” spotykałem się na plebanii w Nadwórnej i „na melinach” w Bitkowie, względnie w miejscach zbiórki w terenie przed udaniem się pasmem gór na Węgry. Spotkania miały miejsce do lata 1941 roku. „Stach” był wybitną indywidualnością i cieszył się wielkim autorytetem u wszystkich, którzy go znali. Nigdy nie wyruszał w „trasę” sam. Do grudnia 1939 roku „chodził z nim” bitkowiec Michał Łużny ps. „Miśko”. Na początku sierpnia 1941 roku w Bitkowie zjawił się „Stach” jeszcze z jednym kurierem. Na skutek denuncjacji jednego z nacjonalistów ukraińskich — współpracownika Gestapo, obaj kurierzy zostali aresztowani i uwięzieni w Stanisławowie. „Stach” został wywieziony prawdopodobnie do Majdanka, gdzie zginął, a jego towarzysz został zamęczony w więzieniu w Stanisławowie. 17 sierpnia 1941 roku został aresztowany proboszcz ks. Józef Smaczniak, przewieziony do więzienia w Stanisławowie, torturowany, zmarł rzekomo na tyfus brzuszny.

A co mówi nasza łączniczka, zamieszkała wtedy na plebanii w Nadwórnej p. dr, ps. „Tereska”. W roku 1939 moja babka Matylda Matkowska została wysiedlona z rodzinnego Mołotkowa koło Nadwórnej. Przygarnął nas ks. Józef Smaczniak, gdzie mieszkaliśmy do 1945 roku. Ksiądz Smaczniak — wielki społecznik, udzielał wszechstronnej pomocy uchodźcom z zachodnich dzielnic Polski (urodzony w 1886 roku, otrzymał święcenia kapłańskie w 1919 we Lwowie, proboszczem w Nadwórnej był od 1931 roku. Za swą społeczną pracę był przed wojną odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi).



Ksiądz Józef Smaczniak

Razem z przybyłym w połowie listopada 1939 roku, wikarym ks. Tadeuszem Łączyńskim pomagali tym, którzy oczekiwali na przeprowadzenie przez kurierów na Węgry. Miało to miejsce w czasie zimy, śnieżyca — a więc w czasie najgorszych warunków atmosferycznych, które umożliwiały stosunkowo bezpieczne przejście przez Karpaty. W sierpniu 1941 roku ks. J. Smaczniak został ostrzeżony przez p. Łozińskiego, że Gestapo włamało się do polskiego poselstwa w Budapeszcie, rozpruło kasę pancerną i zabrało całą dokumentację dotyczącą przerzucania ludzi na Węgry i następnie na Zachód. Przewidując aresztowanie księdza, p. Łoziński miał przygotowany dla

Rzeczpospolita Polska



PREZES RADY MINISTRÓW

STWIERDZA

ŻE

PREZYDENT RZECZYPOSPOLITEJ

NADAŁ

Penie Harcersowi Michałowi ŁUŻNY



SREBRNY KRZYŻ ZASŁUGI

z MIECZAMI

PO RAZ PIERWSZY

Wojennemu, za zasługi w służbie Kuriera pomiędzy Władzami RP na Obczyźnie i Podziemcem pod okupacją sowiecką.

LONDYN, dnia 15 sierpnia 1990r.

[Signature]
PREZES RADY MINISTRÓW

Pośmiertne nadanie Krzyża Zasługi Michałowi Łużnemu

nego bilet lotniczy z Budapesztu do Anglii. Ksiądz Smaczniak był niezdecydowany czy ma prawo opuścić powierzona mu placówkę. Rano, wchodząc do kościoła ks. Tadeusz Łą-



Ks. Tadeusz
Łączyński

czyński zastał swego proboszcza zatopionego w modlitwie, który potem oświadczył, że bez względu na konsekwencje nie będzie uciekał. „Tam jest Polska — gdzie jest polski kapłan” — tym zamknął dyskusję o swoim wyjeździe. Aresztowany został 17 sierpnia 1941 roku i przewieziony do więzienia w Stanisławowie. Przebywająca z nami na plebanii Stanisława Kubelka, odszukała wśród pracujących więźniów w polu ks. Smaczniaka. Miał wybite zęby, palce bez paznokci, na obrzękłych nogach podeszwy przywiązane sznurkiem. Podaną butelkę mleka i pieczywo polecił podać innemu więźniowi. Wkrótce nadeszła wiadomość o Jego śmierci, rzekomo z powodu tyfusu, w innej wersji został zastrzelony; było to już przeszło 9 miesięcy po Jego aresztowaniu.

W międzyczasie Gestapo aresztowało ks. Tadeusza Łączyńskiego, po czterech miesiącach w wigilię 1942 roku został on zwolniony i dalej prowadził działalność rozpoczętą przez ks. Smaczniaka.

Kazimierz Brończyk — zapomniany pisarz i wychowawca

Bolesław Broś

Władze PRL-u, wzorem swoich moskiewskich mocodawców w stosunku do osób szczególnie niewygodnych dla systemu stosowały dwa rodzaje śmierci: fizyczną, zwykle poprzez skrytobójczy strzał w tył głowy oraz drugą, poprzez wymazanie z pamięci społeczeństwa.

W tym drugim przypadku nazwiska najwybitniejszych przedstawicieli polskiej kultury, polityki, wojskowości znikają z łam pras, z encyklopedii i środków masowego przekazu. Przystawano o nich pisać i mówić, po prostu przestawali oficjalnie istnieć. W ten sposób olbrzymi obszar polskiej historii i polskiej kultury został wymazany ze świadomości współczesnego społeczeństwa polskiego.

Chciałbym przywrócić pamięci sylwetkę Kazimierza Brończyka, celowo zapomnianego, wybitnego dramaturga i poetę, o którym ongiś pisano, że: „... wziął lutnię po Wyspiańskim”, niezłomnego charakteru Polaka, wychowawcy rzesz polskiej młodzieży we Lwowie. W sercach i umysłach tych lwowian, którzy się z nim zetknęli pamięć o nim tkwi głęboko.

Największy wpływ na wychowanków VIII Gimnazjum im. Kazimierza Wielkiego we Lwowie, w którym Kazimierz Brończyk pracował blisko 25 lat jako profesor gimnazjalny, wywarła jego osobowość. Świetny romanista, znakomity pisarz, nigdy nie czuł się typowym belfrem. Niezwykle trafnie określi go w Londynie po wielu latach dr Leopold Kielanowski, jego były wychowanek:

„Człowiek niezmiernie pracowitości, łączył prawdę wypowiedzi pisarskiej z pełną szlachetnością i odwagą postawą życiową. Nigdy nie dążył do sławy literackiej, okupionej sprzedażą swoich przekonań. Był nieustępliwy w ich głoszeniu. Wpajał to swoje piękne podejście do życia i ludzi w nas, jego wychowanków”.

Urodził się w 1888 r. w Górze Ropczyckiej. Młode lata spędził w Krakowie, gdzie uczęszczał do Gimnazjum im. Sobies-

kiego. Już na ławie gimnazjalnej próbuje swoich sił w piórze, pisząc dramat historyczny „Przebora”, którego akcja rozgrywa się w średniowiecznej Litwie.



Prof. Kazimierz Brończyk

Po II wojnie światowej losy rzucają go do Krakowa, miasta jego młodości, gdzie 18 listopada 1967 r. umiera. Pozostawił po sobie dwa tomy wspomnień, przekazane jako rękopis do Ossolineum, stanowiące monumentalny dokument epoki, od wczesnych lat bieżącego stulecia po jego lata sześćdziesiąte.

Jeszcze przed pierwszą wojną światową wiąże się węzłem małżeńskim z młodą nauczycielką, mieszkanką Stryja. Łączyło ich wiele, w tym zamiłowanie do gór i do muzyki. Wybuch latem 1914 r. pierwszej wojny światowej zastaje Brończyków w Grenoble, we Francji. Droga okrężną, pełną perypetii wracają do Stryja, skąd Brończyk wyruszy z ostatnim oddziałem „Strzelca” na wojnę, w Pierwszej Brygadzie Legionów Piłsudskiego. Drugi raz wyruszy później w pole na wojnę polsko-bolszewicką, w Małopolskich Oddziałach Armii Ochotniczej.

Gdy w roku 1920 ustana walki o Lwów, znajdzie się już na

stałe w tym mieście przez następnych 25 lat, stając się lwowiaininem z wyboru, aż do czasu ekspatriacji Polaków ze Lwowa w 1945 r. Zwiąże się pracą dydaktyczną z VIII Gimnazjum we Lwowie i jak później wyzna: „... marginesowo traktując belferską robotę, wyżywając się pełniej w poczynaniach literackich”. Miał wyjątkowy dar zjednywania sobie młodzieży, która nie odczuwała przed nim lęku, darzyła go natomiast głębokim szacunkiem i odpłacała się sercem.

Do pisania na serio zabrał się po wojnie 1920 roku. Fascynuje go postać Żółkiewskiego. Prace nad dramatem pt.: „Żółkiewski” trwają blisko półtora roku i obejmują również wyjazdy Brończyka do Żółkwi, Okopów Św. Trójcy, Chocimia i Zbaraża. Maszynopis dramatu wysłał do Ludwika Solskiego, ówczesnego dyrektora teatru „Rozmaitości”. Warszawskie „Rozmaitości” były podówczas pierwszą sceną Polski i miały ulec przekształceniu w Teatr Narodowy. Jury konkursu, pod przewodnictwem Lorentowicza i przy udziale Boya-Żeleńskiego, Grzymały Siedleckiego i Makuszyńskiego, przyznało Brończykowi pierwszą nagrodę.

Pierwszy sezon nowo utworzonego Teatru Narodowego zbiegł się z przypadającym na rok 1925 jubileuszem 50-letniej pracy scenicznej Ludwika Solskiego i wielki aktor wybrał „Żółkiewskiego” na uroczysty, inauguracyjny spektakl, biorąc jednocześnie na siebie rolę Hetmana.

Premiera „Żółkiewskiego” odbyła się w nowo urządzonym Teatrze Narodowym, w dniu 9 października 1925 r., w obecności prezydenta Wojciechowskiego i premiera gen. Sikorskiego. Po latach Brończyk napisze: „Przeżyłem moment największego triumfu w życiu. Wprawdzie Slonimski przejechał się po mnie po swojemu w Wiadomościach Literackich, ale stanowisko jego było odosobnione. Wzięli mnie mocno w obronę: przede wszystkim Karol Hubert Rostworowski, a obok niego równie zdecydowanie Grzymała Siedlecki, Boy — Żeleński, Nowaczyński i Makuszyński”.

W tym samym sezonie „Żółkiewski” był grany w Krakowie z Solskim w roli tytułowej oraz we Lwowie, z Sosnowskim i w Paryżu przez zespół amatorski miejscowej Polonii.

Po dwóch sztukach reprezentujących symbolizm wraca Brończyk do realizmu pisząc „Króla Stefana”, dramat o Stefanie Batorem, który był grany we Lwowie, w Teatrze Wielkim na otwarciu sezonu 1926/27.

W roku 1935 Osterwa wystawia „Króla Stefana” w Krakowie, a wkrótce potem Horzyca realizuje kolejny dramat historyczny Brończyka, „Rejtana”, w reżyserii B. Dąbrowskiego i scenografii Pronaszkii.

W maju 1939 r. bierze udział Brończyk w premierze „Rejtana”, wystawionego przez dra Leopolda Kielanowskiego w Wilnie, w słynnym Teatrze na Pohulance. „Rejtana” zagrano jeszcze w Wilnie już podczas wojny, w dniu 11 listopada 1939 r., po zajęciu miasta przez wojska litewskie.

W dniu 15 sierpnia 1959 r., na Święto Żołnierza, „Rejtana” wystawił emigracyjny teatr polski w Londynie.

Ostatnią sztuką historyczną Brończyka, napisaną na rok przed wojną, byli „Panowie bracia”, przyjęci do repertuaru teatrów lwowskiego i wileńskiego na sezon 1939/40. Sztuka ta jednak, ze względu na wybuch wojny nie doczekała się ani wystawienia, ani też publikacji.

Za okupacji niemieckiej we Lwowie napisał jeszcze Brończyk aktualną sztukę pt.: „Próba ognia”, która nie przepisana na maszynie, przepadła gdzieś w perypetiach wojennych.

Po wojnie, już w Krakowie, w 1957 r. ośmielony oficjalną

krytyką kultu jednostki, napisze Brończyk satyrę dramatyczną pt.: „Eksceleńcja i małpy”, która wywołała oburzenie cenzora i uznana jako „paszkwil na demokrację” nie ujrzała nigdy światła dziennego.

Gdy 1 września 1939 r. wybuchnie wojna Brończyk będzie pisał krzepiące przemówienia radiowe do mieszkańców bombardowanego Lwowa. Po wkroczeniu wojsk sowieckich do Lwowa władze okupacyjne wezwały surowo pracowników do powrotu na swoje stanowiska służbowe. Brończyk tak opisał początek nowego ładu: „Usiadłem wraz z kolegami przy długim stole w sali konferencyjnej VIII Gimnazjum, na zwołanym urzędowo zebraniu. Była to na pewno najboleśniejże chwila w całym moim dotychczasowym życiu. Siedząc otępiali nie mówiliśmy do siebie słowa. Przyszli do nas dwaj panowie: Müller i Skrzyszewski — późniejszy minister w rządzie Polski Ludowej — obydwaj z wyglądu Żydzi. Siedzieliśmy przy stole w niemym osłupieniu. Panowie emisariusze mówili programowo, pryncypialnie, bez zwykłego tupetu. Wyliczali wszystkie grzechy główne „pańskiej” Polski, obiecywali odpust zupełny za szczerą współpracę dla dobra demokracji i „wyzwolonej” Zachodniej Ukrainy. Gróźb nie było. Dyskusji, zgodnie z programem, także nie było. Na odchodnym poinformowano nas, że mamy uczyć na razie według starych programów”.

Jedyny i ukochany syn Brończyków Szczesny, utalentowany muzyk, ppor. rezerwy 19 pp. we Lwowie, wrócił cało z kampanii wrześniowej. Po powrocie próbuje dwukrotnie przedostać się przez pilnie strzeżone granice do tworzącej się polskiej armii we Francji. Podczas drugiej próby zostaje wraz z współtowarzyszami aresztowany przez NKWD i wszelki ślad po nim ginie. Wiadomość o aresztowaniu dotrze do rodziców dopiero po wojnie, lecz mimo tego będą oni wierzyli do końca dni swoich, że ich ukochany syn gdzieś tam żyje w świecie.

Po wkroczeniu Niemców do Lwowa w 1941 r. Brończyk, podobnie jak większość lwowskich profesorów, z konieczności chwytając się przypadkowego zajęcia. Pracuje razem z historykiem prof. Czesławem Nanke w zarządzie domów mieszkalnych. Przyjaciół Brończyka, fizyk prof. Halaunbrenner wspólnie ze znanym filozofem z UJK prof. Ajdukiewiczem pracowali podówczas w tzw. „Viehverband”, które zajmowało się skupem bydła i dostarczaniem do rzeźni miejskiej. Wszyscy spotykali się razem na periodycznych podwieczorkach u p. Halaunbrennerów, w tym również światowej sławy matematyk prof. Banach, by w owych czasach szalejącego głodu doznać rozkoszy podniebienia, jedząc niezrównane parówki z Viehverbandu.

Brończyk w tym czasie pisuje do prasy podziemnej, do lwowskiego „Słowa Polskiego” i do „Wychowania Narodu”, ukazującego się w Warszawie. Bierze również czynny udział w tajnym nauczaniu oraz uczestniczy w podziemnym ruchu umysłowym, którego niestrudzoną organizatorką była prof. Stefania Skwarczyńska. W jej mieszkaniu zbierają się pisarze, poeci, krytycy i aktorzy. Odbywają się tam również tajne zebrania Lwowskiego Towarzystwa Naukowego oraz Lwowskiego Towarzystwa Literackiego im. A. Mickiewicza.

Dorobek literacki zespołu zebrano w dwie antologie poetów lwowskich pod redakcją prof. Skwarczyńskiej. Pierwsza ukazała się w 1943 r. pt. „Wierne płomienie”, wydrukowana w Warszawie środkami Narodowej Organizacji Wojskowej. Drugą, pt. „Śpiew wojny” wydrukowano we Lwowie w 1944 r., nakładem AK.

W lipcu 1944 r., po odwróceniu Niemców, wkroczyła ponow-

nie do Lwowa Czerwona Armia. Jak wspomina Brończyk: „Przedstawiała dość żałosny widok. Masa była wielka — przewalała się miastem przez kilka dni... Przeważał tabor konny, zwykle furmanki chłopskie, powożone przez nieumundurowanych chłopów — woźniców. Nędzne konie, podniszczone wozy. A przy czołgach i przy bateriach armat dużo kobiet — żołnierki... Ulice Lwowa ustroiły się bogato we flagi polskie”.

11 września 1944 r. Brończyk zostaje aresztowany i osadzony w więzieniu przy ul. Łackiego. Początkowo umieszczono go w pojedynczej celi. Wykorzystując szczelinę w ścianie nawiązuje z nim kontakt z sąsiedniej celi Magdalena Lukas, córka przyjaciela Brończyka inżyniera Lukasa, niezwykle uzdolniona dziennikarka młodego pokolenia. Tak zaczęła się więzienna korespondencja Brończyka ze znaną mu tylko z nazwiska Magdaleną Lukas, korespondencja niezwykle ze względu na okoliczności, przesiąknięta nieklamana po obu stronach poezją słowa. Gdy pod koniec 1948 r. pani Lukas wróci z sowieckiego łagru na Uralu, osiadzie we Wrocławiu i rozpocznie pracę w Ossolineum, a prof. Brończyk zostanie zwolniony z więzienia na Mokotowie i wróci do Krakowa, wznowią oboje tę korespondencję i będą ją kontynuowali nicomal do ostatnich dni życia Brończyka.

W dniu 4 lutego 1945 r. duży transport więźniów wraz z Brończykiem zostaje skierowany ze Lwowa do Zagłębia Donieckiego, do łagru przy kopalni węgla w Krasnodonie. Pierwszy wchodzi do obozu rektor UJK, twórca polskiego prawa karnego, sędziwy już wówczas profesor Makarewicz. W łagrze tym zgromadzono kwiat lwowskiej inteligencji, w tym większość profesorów lwowskich uczelni. W nieludzkich warunkach wielu z nich umiera. Brończyk w Krasnodonie przechodzi obustronne zapalenie płuc. Pod koniec sierpnia 1945 r. rozpoczyna się stopniowa likwidacja łagru. 20 września 1945 r. Brończyk zostaje przewieziony do Lwowa, do więzienia na Łackiego, gdzie spędzi jeszcze pięć tygodni. Zostaje wreszcie zwolniony, bez postawienia zarzutu i bez sądu.

W dniu 17 grudnia 45 r., w ramach masowej ekspatriacji Polaków ze wschodniej części Polski, opuszcza Brończyk Lwów, dzieląc wagon towarowy z prof. Aleksandrem Zakrzewskim oraz jego rodziną i przybywa 22 grudnia 45 r. do Krakowa.

W styczniu 1946 r. pojawia się u Brończyka polonista Zbigniew Nowosad, działacz Stronnictwa Narodowego i proponuje mu współpracę w „Biuletynie Kresowym”, organie konspiracyjnego Komitetu Ziemi Wschodnich. Brończyk, który nie może pogodzić się z utratą Lwowa, Krzemieńca i Wilna, przyjmuje propozycję Nowosada i pisze do Biuletynu kilka artykułów.

O znaczeniu ziem wschodnich Polski napisze potem: „...zwróciliśmy się na wschód i na tych ziemiach wschodnich wyrosły nasze największe, genialne często osobowości; na tych ziemiach dokonaliśmy naszych największych czynów wojennych i cywilizacyjnych. Przecież i Grunwaldu nie byłibyśmy dokonali bez Litwy”.

W maju 1946 r. zostają aresztowani trzej pierwsi członkowie KZW, a 4 grudnia 46 r. większa grupa, wśród której znaleźli się: K. Brończyk, ks. kanonik Bolesław Grudzieński z lwowskiej kapituły oraz znakomity anglista prof. Władysław Tarnawski. Brończyk doprowadzony po aresztowaniu do UB przy Placu Inwalidów w Krakowie jest przesłuchiwany przez słynnego potem Światłę, recte Lichtiga.

Po dwóch tygodniach przewieziono aresztowanych, pod konwojem ciężarówki wypełnionej żołnierzami UB, do wię-

zienia na Mokotowie w Warszawie, gdzie prowadzono intensywne śledztwo nocami, często dwukrotnie w ciągu jednej nocy. Proces rozpoczął się we wrześniu 47 r. i odbywał się w budynku więziennym. Chorego, 72-letniego Stanisława Zielińskiego, przebywającego w szpitalu więziennym, przynoszono do sali sądowej na noszach. W trakcie procesu sądowego, na skutek interwencji ambasadora sowieckiego, nastąpiła zmiana składu sędziowskiego, uznanego przez kontrolne organy sowieckie za zbyt łagodny. W wyniku tej interwencji zapadły 1 października 47 r. niezwykle surowe wyroki. Dwie osoby skazano na karę śmierci, a pozostałe na długoletnie więzienie. Po zastosowaniu amnestii kary te zostały zmniejszone.

Obrony Brończyka podjął się bezinteresownie adwokat dr Oktaw Pietruski, dawny jego uczeń ze Lwowa.

W styczniu 48 r. wywieziono Brończyka wraz z innymi więźniami politycznymi do Wroniek. We Wronkach cała trasa przemarszu więźniów była obstawiona aż po samo więzienie po obu stronach tyralierą piechoty, poprzątaną w regularnych odstępach stanowiskami karabinów maszynowych, przeciwko bezbronnym, zmaltretowanym pięćdziesięciu więźniom.

Po pewnym czasie Brończyka, prof. Tarnawskiego i prof. Eugeniusza Ralskiego, ubrawszy w stare, niemieckie mundury wojskowe przewieziono pod konwojem z powrotem do Warszawy, do więzienia mokotowskiego. Wydarzenie to, tak wspomina Brończyk: „Dowódca konwoju złączył kajdankami moją prawą rękę z lewą prof. Ralskiego...”, a po przyjeździe na dworzec w Warszawie:

„... tłumkowi gapiów szwendających się po hali tłumacza, że jesteśmy oficerami niemieckimi, ja pułkownikiem, prof. Tarnawski majorem, a najmłodszy prof. Ralski kapitanem”.

Pod koniec pobytu Brończyka w więzieniu mokotowskim do jego celi doszedł jeszcze plk dr Wacław Lipiński, znany biograf Piłsudskiego, któremu karę śmierci zastąpiono karą dożywotniego więzienia. Nieludzko szykanowany Lipiński popełni później samobójstwo we Wronkach.

20 września 1948 r. zawiadomiono Brończyka, że wychodzi na wolność, czemu początkowo nie dał wiary. Wcześniejsze zwolnienie Brończyka nastąpiło w wyniku masowej akcji zbierania podpisów krakowskich i warszawskich literatów na podaniu o zwolnienie, skierowanym do Bieruta. Listy bezpośrednio napisały wybitne osobistości ze świata teatralnego, w tym zawsze niezawodny w przyjaźni do Brończyka Ludwik Solski oraz Bronisław Dąbrowski, ówczesny dyrektor Teatru im. Słowackiego w Krakowie. Decydująca jednak — jak utrzymuje sam Brończyk — była cicha interwencja ówczesnego ministra Kultury Włodzimierza Sokorskiego, który niejednokrotnie okazał Brończykowi wiele życzliwości.

W Krakowie, jeszcze przed aresztowaniem, opracuje Brończyk pierwsze po wojnie wydanie „Pana Tadeusza”, z własnymi do niego przypisami. Po zwolnieniu w 1948 r. z więzienia poświęca się głównie Brończyk tłumaczeniom na język polski klasyków literatury francuskiej i angielskiej. Współpracuje okresowo z „Tygodnikiem Powszechnym” i „Kierunkami”, głównie w zakresie krytyki teatralnej. W planach wydawniczych PAX-u było przewidywane zbiorowe wydanie dramatów Brończyka, lecz nigdy nie doszło do realizacji tych zamierzeń. Trudno się jednak dziwić, gdyż w owych czasach, w których z zakazu ambasad sowieckiej nie wolno było w teatrach polskich grać „Dziadów”, „Kordiana” czy „Wesela”, a znaleźli uznanie „owych władz” tacy bohaterowie dramatów Brończyka, jak: Stanisław Żółkiewski, Stefan Batory, czy Rejtan.

Byłem wychowankiem profesora Brończyka w VIII Gimnazjum we Lwowie, w latach: 1934–1940. Przez prawie cały ten okres był gospodarzem mojej klasy. Myśląc o nim zawsze mam przed oczyma wysoką, szczupłą jego postać, o pociągłej ascetycznej twarzy, mądrych i dobrych głęboko osadzonych oczach, o włosach krótko ostrzyżonych, czesanych „na jeża” i miękkim przyciszonym głosie. Znakomity romanista, uczył nas języka francuskiego w sposób nietypowy prowadząc w tym języku świetny wykład akademicki historii literatury francuskiej z własnymi, oryginalnymi komentarzami.

Jesienią 1939 r., w początkach okupacji sowieckiej, gdy na polecenie władz sowieckich wznowione zostało nauczanie w VIII Gimnazjum, pocieszał nas i podtrzymywał na duchu, wyrażając przekonanie o ostatecznym zwycięstwie Aliantów i Polski i jednocześnie ostrzegał, że nadchodzą czasy, w których będziemy mogli porozumiewać się ze sobą jedynie oczyma.

We wspomnieniach utkwil mi w pamięci jak przez mgłę jeden z ponurych dni okupacji sowieckiej, kiedy to Brończyk całkowicie załamany, nie był w stanie prowadzić zajęć i przestał całą godzinę lekcyjną w oknie. Dzień ten przypomniał mi Brończyk w swoich Wspomnieniach. Było to wczesną wiosną 1940 r., kiedy to nocą, w ramach niespodziewanej deportacji wywieziono w odległe i nieludzkie rejony ówczesnego ZSRR, tysiące Polaków ze Lwowa. Oddajmy głos autorowi Wspomnień: „Podobne sceny rozgrywały się w tysiącu domów lwowskich. Można sobie wyobrazić w jakim nastroju szedłem rano na lekcje w gimnazjum. A ze mną reszta moich kolegów — Polaków. Uczniowie siedzieli w grobowym milczeniu. Niemal każdy z nich stracił wśród wywiezionych kogoś bliskiego. Nie było mowy o prowadzeniu lekcji. Stałem przy oknie i patrzyłem na ulicę. Z budynku naprzeciwko spóźniona ekipa policyjna wyprowadzała do ciężarówki rodzinę z kilku osób. Ostatnia wskoczyła do wozu młoda, zgrabna dziewczyna, a kiedy auto ruszyło stanęła i nadrabiając miną zaczęła posyłać ręką całusy patrzącym z okna sąsiadom. Stała tak długo, aż wóz zginął na zakręcie”.

Brończykowie boleśnie przeżywali brak jakichkolwiek wiadomości o synu, nie tracili jednak nadziei, że żyje. Odnosili się po wojnie w sprawie syna do PCK oraz innych instytucji międzynarodowych, do przywódców PRL i najwyższych osobistości sowieckich. Brończyk tak napisze o tym:

„Na to wszystko otrzymywaliśmy albo odpowiedzi wymijające, albo nie odpowiadano nam w ogóle. Nie tracimy jednak nadziei i czekamy dalej na cud”.

Na przełomie lat 1967–1968 przebywałem przez ponad pół roku w Londynie, na stypendium naukowym w Imperial College. W domu na Kensingtonie, w którym podówczas mieszkalem, sąsadowałem z Julianem Iwanickim z Przemyśla. Aresztowany przez NKWD, zesłany został do jednego z łagrów na dalekiej północy ówczesnego ZSRR. Udało mu się stamtąd wydostać do armii gen. Andersa, z którą odbył potem całą kampanię włoską. Ciężko ranny podczas tych walk, zapadał potem często na zdrowiu, co było potem, w wiele lat później, przyczyną jego przedwczesnej śmierci. Podczas mojego pobytu w Londynie zaprzyjaźniłem się blisko z Julianem. Prowadziliśmy często do późnych godzin nocnych, długie rodaków rozmowy. Podczas jednego z takich spotkań dowiedziałem się przypadkowo od Juliana, że był przy śmierci Szczęsnego Brończyka, który zmarł w jego obecności w okrutnych, nieludzkich warunkach na oblodzonej barce rzecznej, gdzieś na dolnym Jenisieju. Gdy wróciłem do kraju w kwietniu 1968 r. prof. Brończyk już nie żył. Może to i lepiej, że umierał z nikłą nadzieją, że ukochany syn żyje gdzieś tam w dalekim świecie.

Wspomnienia swoje doprowadził Brończyk nieomal do ostatnich lat swojego życia i zakończył je smutnymi refleksjami: „Kończę wspomnienia, a jednocześnie własny wielce szanowny żywot, w gruncie rzeczy nieudany, jeżeli za udany należy uważać taki w którym spełniły się czyjeś naturalne, nie marzenia, ale przynajmniej rozsądnie pomyślane zamiary... Jeżeli mi dzisiaj tak niesporo odchodzić w zaświaty, to z niepokojem o nieznaną mi dzisiaj przyszłość naszego narodu; boć sprawa egzystencji tego narodu była moją największą pasją życiową, jedyną inspiracją całej mojej twórczości pisarskiej”.

Niech garść tych wspomnień o profesorze Brończyku wydobędzie z mroku zapomnienia tę wspaniałą postać wielkiego pisarza i dramaturga, niezłomnego Polaka, wielkiego myśliciela i wychowawcy rzeszy Polaków.

Sądzę, że zakaz ambasady sowieckiej nie powinien już obowiązywać, a więc znakomite jego dramaty historyczne powinny wrócić na sceny teatrów polskich, a jego Wspomnienia, jako dokument minionej epoki powinny ukazać się drukiem.

Moi kochankowie (cd z poprzedniego numeru)

Ludwika Castori-Dąbrowska

Kierownikiem Studia był A. Bardini, program obejmował historię literatury i teatru — Jerzy Koller, umuzykalnienie — S. Czosnowski, plastykę ruchu — M. Broniewska, zajęcia aktorskie, dykcję i opracowanie scen dramatycznych — A. Bardini, A. Szymański i J. Żmijewski.

Kolegami moimi byli m.in.: Janina Burke, Jerzy Bielecki, Bogusława Michna-Czosnowska, Danuta Kucka, Zofia Patryń, Zofia Petry, Zdzisław Pelz-Ichniowski, Zdzisława Zaremba-Młodnicka. Wszyscy uczestniczyli w praktycznych zajęciach teatralnych a nawet byli obsadzani w większych rolach. Pierwszą moją rolą była Janina w komedii Fauchois: „Ostrożnie, świeżo malowane”, a potem Miss Daum w sztuce Korniejczuka: „Misja Mr. Perkinsa do kraju bolszewików”, Maryna w

„Weselu” Wyspiańskiego i lokatorka w „Moralności pani Dulskiej” Zapolskiej.

Początek września 1944. Prace w teatrze niedawno rozpoczęto, więc organizacja nie jeszcze w pełni sprawna. Jest trochę zamieszania, bo mają się rozpocząć próby z następnej sztuki, a role jeszcze nie są rozpisane. Więc zgłosiłam się do dyr. Żyteckiego z propozycją, że jeżeli mi wypożyczą do domu maszynę, egzemplarz i papier, to przepiszę i próby będą mogły się rozpocząć 12 IX. Zgodził się z radością i goniec teatralny wszystko o co prosiłam przyniósł mi do domu, gdzie zaraz zabrałam się do pisania. Była to niedziela 10 IX. Wieczór, ciepło, okna otwarte. Po jakiejś godzinie usłyszałyśmy razem z matką okropny łomot do drzwi i po ich otwarciu wpadło do

mieszkania kilku żołnierzy NKWD z nastawionymi bagnetami. Jeden z nich krzychał do mnie: „De Słowo Polskie?” Była to podziemna gazetka, więc byłam przekonana, że to po prostu wyspa. Odpowiadam, że niczego nie wiem, że jestem aktorką i przepisuję role potrzebne do prób następnej sztuki. Nie tylko go to nie przekonało, ale jeszcze bardziej zdziwiło i roześmieszło, że aktorka pisze na maszynie. Kazał przeprowadzić rewizję. Tego co się zaczęło nie sposób tu opisać. A ja ciągle myślę kto mnie wsypał? Wreszcie po jakichś 3 godzinach rewizji w której wyniku zabrano z sekretarzystki mojej matki wszystkie dokumenty, gdzie tylko duża pieczęć, kazali mi iść z nimi. Zdawałam sobie sprawę, że już nie wrócę, pożegnałam się z matką i prosiłam, aby zaraz rano dała znać do Teatru, że mnie zabrano z maszyną i egzemplarzem. Kiedy wyszliśmy na ulicę, zobaczyłam, że cały dom i ulica otoczone są żołnierzami. Prowadzą mnie, ale nie mogę się zorientować w jakim kierunku, bo i noc, i myślę o wyspie, i jak się bronić. Wreszcie weszliśmy do jakiegoś wielkiego budynku, przez podwórze, korytarz do pokoju, gdzie — jak się później okazało — urzędował naczelnik. Od razu zaczęło się przesłuchanie: jaskrawa lampa w oczy, bagnet przy szyi i pytania: „de Słowo Polskie” i o adresy osób, których nazwisk w ogóle nie znałam. Potem wepchnęli mnie do jakiejś małej izby, gdzie niczego nie było, tylko małe okienko pod samym sufitem. Te przesłuchania odbywały się co kilkanaście minut. Kiedy wreszcie zmęczona i zdemotywana do ostatnich granic, a oni wściekli, że nie mogli się niczego ode mnie dowiedzieć, jeden z nich podszedł do mnie i mówiąc: „masz, aktriso” uderzył mnie z całej siły w twarz. Upadłam uderzając głową o ścianę. Wyprowadził mnie z powrotem do tej ciemnej izby. Usiadłam na podłodze, głowa boli, ale uspokoiłam się trochę, że to nie sprawa konspiracji, tylko co?! Po jakimś czasie znowu otwarto drzwi i wepchnięto młodą dziewczynę w mundurze. Usiadła obok mnie, wtedy zorientowałam się, że jest trochę pod muchą. Zaczęła wypytwać, kto jestem i dlaczego tu siedzę. Bałam się cokolwiek mówić, bo byłam pewna, że to szpicel więc powiedziałam tylko, że jestem aktorką. Po jakimś czasie ją wezwali i więcej nie wróciła. Nie wiedziałam, która jest godzina, zegarka nie miałam, orientowałam się tylko po promieniach słońca, które padały przez to małe okienko. Musiało być już południe, gdy nagle wpadł żołnierz (ten, który mnie uderzył) bardzo zdenerwowany i krzychał „pajdiom!”. Wprowadza mnie do pokoju przesłuchań i widzę, że jeden żołnierz trzyma moją maszynę, drugi egzemplarz i papier. Wszyscy razem wyszliśmy na podwórze, potem do dużego korytarza i na schody prowadzące na pierwsze piętro, do poczekalni, gdzie zobaczyłam... Dąbrowskiego i Żyteckiego, który powiedział: „No, nareszcie panią mamy”. Zdębiałam. — „Teraz — powiedział — musimy wszyscy pójść i podziękować gen. Milewskiemu za uwolnienie pani”. (Gen. Milewski, pochodzenia polskiego, mówił świetnie po polsku i b. często gościł w naszym Teatrze). Więc weszliśmy wszyscy do jego gabinetu, żołnierze też. Podziękowałam generałowi, on mnie grzecznie przeprosił za „nieporozumienie” i życzył sukcesów w teatrze. Kiedy już wychodziliśmy, zatrzymał nas i zapytał mnie: „Czy panią bili?” Spojrzałam na tego, który trzymał maszynę, to on mnie uderzył, a ten się cały trząsie. Wszyscy czekają, co odpowiem. A ja co? Cały czas myślę aby jak najszybciej stąd się wydostać, co zyskam jeżeli powiem, że mnie uderzył i guz na głowie mi rośnie. A niech cię szlag trafi! Głośno odpowiedziałam: „Nie” i wybiegłam z gabinetu.

Za mną wyszli wszyscy, żołnierze oddali Żyteckiemu maszynę, egzemplarz i papier i na ulicy zorientowałam się, że byłam w budynku dawnego D.O.K. przy pl. Bernardyńskim, tak blisko mojego domu!

Otóż jak do tego „nieporozumienia” doszło.

W domu, w którym mieszkałam (ul. Łyczakowska 7) na pierwszym piętrze miała kwaterę jakaś komandirka, która, gdy usłyszała stukot pisania na maszynie dała znać do NKWD, skąd natychmiast przyszli i mnie zabrali. Kiedy matka moja zawiadomiła o tym Teatr, dyrekcja zaczęła mnie szukać po wszystkich komisariatach milicji w całym Lwowie. Nigdzie mnie nie znaleźli. Nie wiedzieli co robić.

Sekretarz naszego Teatru (Andrzej Misiakiewicz) stojąc w kolejce w Gastronomii usłyszał jak stojąca niedaleko przed nim dziewczyna w mundurze wesoło opowiadała otaczającym ją koleżankom, jak to ona siedziała tej nocy „za wodka” z aktorką. Kiedy usłyszał to słowo, podszedł do niej i zapytał, jak ta aktorka wyglądała. Opis się zgadzał. Natychmiast pobiegł do Teatru i zawiadomił dyrekcję: „Lidka jest w dawnym D.O.K.” I tak mnie odszukali.

Ale to jeszcze nie koniec.

W parę dni po tej przygodzie jestem na próbie, kiedy portier Teatru (nb. dawny starosta Złoczowa dr Moszyński) przestraszony wywołuje mnie i mówi, że przyszedł do mnie jakiś NKWD-yśta. Wybiegłam na podwórze, a tu stoi ten żołnierz, który mnie uderzył i prosi abym poszła z nim za budynek teatru. Boję się, ale idę, a on tam — aby nikt nie widział — wyjmie zza pazuchy zetę, w którą owinięte jest trochę machorki, kawałek słoniny i kielbasy, torebka cukierków, kawałek czekolady i mówi: „ja was praszu, wożnijcie eto”. Ja nie chcę wziąć, ale on tak prosi, a ja się spieszę na próbę, że się w końcu zgodziłam. I tak było co kilka tygodni. Wszystko to oddawałam dozorczy budynku, który był bardzo zadowolony z tych podarunków, a nawet się o nie upominał mówiąc: „kiedy znowu przyjdzie ten pani NKWD-yśta?”. A kiedy byliśmy już na dworcu i czekaliśmy na załadowanie dekoracji i wyjazd, przyszedł z małym bukietem polnych kwiatów aby mnie pożegnać i podziękować, że nie powiedziałam generałowi prawdy. Czyżby się bał? Wiadomo było jak odbywały się przesłuchania, a szczególnie w NKWD. Nie mogłam zrozumieć, co nim kierowało, czego się obawiał?

Ale wróćmy do Teatru.

Początkowy repertuar składał się raczej z pozycji rozrywkowych. Ludzie po prostu potrzebowali trochę rozrywki i uśmiechu. Kierownictwu teatru zależało jednak na pozycjach klasyki polskiej i obcej, ale sytuacja kazała uwzględnić problemy społeczno-polityczne i wybrać stosowne i nadające się do uwspółcześnienia. Ambicją jego było wystawienie „Wesela” Wyspiańskiego. Uzyskano zgodę władz, niestety, nie było funduszy na szycie nowych kostiumów, których — jak wiadomo — było kiedyś dużo. Do Teatru dotarły wiadomości, że większa ich część została wywieziona do Kijowa. Zdecydowano, aby sekretarz i kierownik administracyjny pojechali je odnaleźć. I tam z pomocą Wandy Wasilewskiej, udało im się po pewnym czasie odszukać większą ich część i przywieźć do Lwowa. Podczas nieobecności sekretarza zaproponowałam dyrekcji, że przez ten czas obejmę pracę w sekretariacie. Ponieważ „nasz poczciwy Tanio” (tak go nazywaliśmy) absolutnie nie miał pojęcia o pracy biurowej, i to jeszcze tak skomplikowanej jak w teatrze, zastałam niesamowity bałagan i dużo

czasu upłynęło, nim doprowadziłam wszystko do porządku. I znowu okazało się, że moja znajomość stenografii i pisanie na maszynie bardzo się przydała. Na prośbę dyrekcji podjęłam się dalszej pracy w sekretariacie (później w dziale organizacji pracy artystycznej) i tak już zostało do końca moich dni w teatrach we Lwowie, Katowicach, Krakowie, Warszawie i znowu w Krakowie. Na szczęście udawało mi się zawsze godzić te dwie prace: artystyczną i biurową bardzo często kosztem nieprzespanych nocy i zarywania urlopów.

Zbliżała się 26. rocznica odzyskania Niepodległości Polski. Staraniem Lwowskiego Oddziału Związku Patriotów Polskich i dyrekcji teatru odbyła się w sali Teatru Polskiego w dniu 11 listopada 1944 uroczysta akademii. Nie zapomnę jej

ZWIĄZEK PATRIOTÓW POLSKICH, ODDZIAŁ WE LWOWIE

W sobotę, dnia 11-go listopada 1944 roku, o godzinie 17:30

w sali Państwowego Teatru Polskiego,
Jagiellońska 11

urządza

UROCZYSTĄ AKADEMIE

ku uczczeniu

26-ej ROCZNICY
ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI POLSKI

NA PROGRAM ZŁOŻĄ SIĘ:

1. Hymn Związku Radzieckiego i Hymn państwowy Polski
2. Przemówienie
3. Adam Mickiewicz: „Oda do Młodości”;
recytuje dyr. Państw. Teatru Polskiego Bronisław Dąbrowski
4. a) Stanisław Moniuszko: Aria hrabiny z op. „Hrabina”
b) Stanisław Niewiadomski: „Latawica”
c) Mieczysław Karłowicz: „Chylisz głowę na pierś białą”
w wykonaniu artystki Teatru i Baletu Franciszki Stoniewskiej, przy fortepianie Hilda Rzepecka
5. Wiazanka pieśni polskich w wykonaniu orkiestry Teatru Polskiego, pod dyktando Sylwestra Czosnowskiego
6. Aleksander Fredro: „Mąż i żona”, komedia w 3-ach aktach.
w wykonaniu zespołu Państw. Teatru Polskiego, reżyserii Stanisława Cegielskiego.

BT 00186 2. Drukiem — 704 — 300

nigdy. Kiedy po odegraniu (z konieczności) hymnu Związku Radzieckiego, odegrano hymn polski, którego nie słyszeliśmy od pięciu lat, publiczność na sali wstała, ale nie uczyła go brawami tylko płaczem. Płakali wszyscy i ci na widowni, i my zgromadzeni na scenie i za kulisami. Był to płacz i radości i smutku. Cały budynek teatru i kwadrat między ulicami Legionów, Kościuszki i 3 Maja był otoczony kordonem NKWD-ystów, nawet zamiast bileterów oni sprawdzali bilety wstępu.

Czas płynął. Wystawiono już: „Ich czworo” Zapolskiej (19 VIII 44), „Burmistrza Stylmondu” Maeterlincka (6 IX 44), „Ostrożnie, świeżo malowane” Fauchois (20 IX 44), „Cały dzień bez kłamstwa” Montgomery’ego (11 X 44), „Męża i żonę” Fredry (19 X 44), „Misję Mr. Perkinsa do kraju bolszewików” Korniejczuka (20 XII 44), „Moją siostrę i ja” Verneuilha (31 XII 44), „Uciekła mi przepióreczka” Żeromskiego (3

III 45), „Wesele” Wyspiańskiego (14 IV 45) i ostatnią premierę „Moralność pani Dulskiej” Zapolskiej (14 VI 45).

W „Weselu” zostałam obsadzona w roli Maryny. Nie muszę chyba opisywać z jakim wzruszeniem odebrałam to wyróżnienie. Obsada była wspaniała: Gospodarz — A. Szymański, Gospodyni — S. Michnowska, Panna Młoda — T. Suchecka, Pan Młody — T. Surowa, Poeta — T. Woźniak, Dziennikarz — R. Hierowski, Czepiec — W. Brochwicz, Rachel — I. Tomaszewska, Radczyni — E. Kwiatkiewiczowa, Zosia — Z. Petry, Haneczka — Z. Zaremba, Jasiek — J. Bielecki (później B. Dąbrowski), Staszek — K. Feidmanówna, Kuba — Z. Petryn i W. Hiolski, Ksiądz — J. Kordowski, Klimina — Z. Wierzejska, Marysia — Z. Życzkowska, Czepcowa — M. Sieniawska, Żyd — K. Lewicki, Osoby dramatu: Chochół — Z. Pelc, Widmo — A. Bardini i A. Świętnicki, Stańczyk — B. Dąbrowski i P. Polonowski, Hetman — F. Kuligowski, Rycerz Czarny — E. Żytecki, Wernyhora — A. Młodnicki, Inszenizacja i reżyseria — B. Dąbrowski, Ilustracja muzyczna — S. Czosnowski, Dekoracje i kostiumy — S. Cegielski.

Z nieopisaną treścią czekaliśmy na premierę. Zresztą nie tylko my, cały Lwów na nią czekał. Na widowni i za kulisami panowała odświętna atmosfera. Po podniesieniu kurtyny i w czasie akcji na scenie — głęboka cisza, po skończonym akcie — niemiłkająca brawa. Jest w III akcie scena: Rozmowa Poety z Panną Młodą:

Panna Młoda:

... a gdzie mnie biesy wieziecie,
a oni mówią: „do Polski”.

A każ tyż ta Polska, a każ ta?

Pon wiedzą?

Poeta

Po całym świecie

możesz szukać Polski panno młoda,

I nigdzie jej nie znajdziecie!

Panna Młoda:

To może i szukać szkoda.

Poeta:

A jest jedna mała klatka —

O, niech tak Jagusia przymknie

rękę pod pierś.

Panna Młoda

To zakładka

gorseta, zeszyta trochę przyciasnie,

Poeta:

— — — A tam puka?

Panna Młoda:

I cóż to za tako nauka?

Serce — ? —

Poeta:

A to Polska właśnie.

I tu powtórzyła się reakcja widowni jak w dniu 11 listopada. Nie było braw, tylko jeden wielki płacz. Aktorzy musieli przerwać dialog, bo i oni i my stojący za kulisami też płakaliśmy. Na jednym spektaklu, jakiś odważył się, po kwestii Poety: „A to Polska właśnie!” głośno zaintonował „Jeszcze Polska nie zginęła”..., publiczność natychmiast podchwyciła i stojąc odśpiewała do końca. Aktorzy na scenie nie wiedzieli co robić, my zgromadzeni za kulisami też nie wiemy, czy opuścić kurtynę, czy przeczekać i grać dalej. Postanowiliśmy dokończyć przedstawienie. Wiedzieliśmy, że incydent jaki się wydarzył, pociągnie za sobą konsekwencje, tym bardziej, że na każ-

STANISŁAW WYSPIAŃSKI

WESĘLE

Dramat w 3 aktach

O S O B Y :

Gospodarz	Alfred Szymański
Gospodyni	Stefania Michnowska
Pan Młody	Tadeusz Surowa
Panna Młoda	Teresa Suchecka
Marysia	Zdzisława Życzkowska
Wojtek	{ Bronisław Broński
Ojciec	{ Rudolf Kula
Jasiek	{ Marian Bielecki
Kasper } družbowie	{ Jerzy Bielecki
Poeta	{ Jerzy Fitio
Dziennikarz	{ Tadeusz Woźniak
Nos	{ Roman Hierowski
Radczyni	{ Gustaw Rasiński
Maryna	{ Eug. Kwiatkiewiczowa
Zosia	{ Ludwika Castori
Haneczka	{ Zofia Dejna
Klimina	{ Zofia Petry
Czepiec	{ Janina Zającówna
Czeczowa	{ Zdzisława Zaremba
Kasia — druchna	{ Zofia Wierzejska
	{ Miła Czajkowska
	{ Władysław Brochwicz
	{ Romuald Bojanowski
	Maria Sienawska
	Danuta Kucka

Staszek	Krystyna Feldmanówna
Kuba	{ Włodzimierz Iliński
Isia	{ Zofia Patryn
Żyd	{ Janina Skwarczyńska
Rachel	{ Kazimierz Lewicki
Dziad	{ Seweryn Zwerling
Ksiądz	{ Irena Tomaszewska
Muzykant	{ Janina Gozdecka
	{ Marian Lech
	{ Jerzy Kordowski
	{ Zygmunt Wilczkowski

O S O B Y D R A M A T U :

Chochol	Zbysław Półc
Widmo	{ Aleksander Bardini
Stańczyk	{ Aleksander Świętnicki
Helman	{ Bronisław Dąbrowski
Rycerz Czarny	{ Piotr Poloniski
Wernyhora	{ Filip Kuligowski
Djabeł I	{ Romuald Bojanowski
Djabeł II	{ Edward Żytecki
	{ Marian Bielecki
	Artur Młodnicki
	Stefan Ilnicki
	Ireneusz Rudék

Inscenizacja i reżyseria: BRONISŁAW DĄBROWSKI
 Ilustracja muzyczna: SYLWESTER CZÓSNOWSKI
 Kierownik literacki: Dr. JERZY KOLLER

Dekoracje i kostiumy: STANISŁAW CEGIELSKI
 Asystent reżysera: Dr. JANINA GARBACZOWSKA
 Kierownik artystyczny: BRONISŁAW DĄBROWSKI.

dym przedstawieniu „Wesela” na sali byli obecni dwaj „opiekunowie”, wprawdzie po cywilnemu ale znani już naszym bieterom, którzy dawali nam znać o ich obecności. I nie myliliśmy się, bo już po rozcharakteryzowaniu się i przebraniu, wychodząc dobiegła nas wieść, że „Dąbrowskiego i Żyteckiego zabrali!” Zaniepokojeni, nazajutrz wcześniej rano zgromadziliśmy się przed teatrem, gdzie zobaczyliśmy wywieszkę: „Teatr nieczynny”. Po wielkich staraniach dowiedzieliśmy się, że przesłuchujący zatrzymanych uważali, że była to manifestacja

na cześć dyrektora teatru: Dąbrowskiego. Żadne wyjaśnienia nie pomagały. Postanowiono zawiesić działalność teatru, a Dąbrowskiego i Żyteckiego zatrzymać. Dopiero interwencja Jarosława Gałana (poeta, przyjaciel naszego teatru, znakomity tłumacz „Pana Tadeusza”), który potrafił przekonać władzę, że gen. Dąbrowski i dyr. Dąbrowski, to dwie różne osoby, jakoś trafiła do ich świadomości i po zwolnieniu obu dyrektorów — teatr dalej był czynny.

cdn.

DWIE FOTOGRAFIE

Zdzisław J. Zieliński

Leżą przede mną na biurku. Obie przedstawiają moje klasy pod koniec roku szkolnego w 1937 i 1939 roku. W szkole im. Henryka Sienkiewicza, gdzie kpt. Tatar-Trześniowski zorganizował pierwszą placówkę Obrony Lwowa. Na obu zdjęciach jest też nasza wychowawczyni p. Zofia Staszyńska, uczestniczka tej Obrony. W czasie świąt państwowych występowała zwykle w mundurze Ochotniczej Legii Kobiet, z odznaczeniami. Jest też dyrektor naszej szkoły, Antoni Bereś z nieodłączną muszką w groszki. Oba zdjęcia są o tyle podobne, że przewijają się na nich z grubsza te same twarze, rzecz zrozumiała. Ale po bliższym obejrzeniu, uważny widz może stwierdzić także istotne różnice. To drugie mogłoby być wykonane np. w czasie niemieckiej okupacji — jest na nim ksiądz, ale nagle zabrakło Żydów, podczas gdy na pierwszym jest ich sporo. Nie, to drugie robiono także „za Polski”, tyle że jest pamiątką z I Komu-

nii Św. Toteż wszyscy chłopcy występują tu w białych ubranach. No, prawie wszyscy, za wyjątkiem jednego, którego rodziców nie stać było na ten strój. Byli to reemigranci z Francji, wydaleny podobno za działalność lewicową. Mieliśmy w swoim gronie jeszcze jednego takiego, ten imponował nam pacierzem po francusku i tym, że ssał bibułę umoczoną w atramencie, tak jak we Francji... Obaj nie należeli do zamożnych.

Ale wróćmy do naszych Żydów. Nietrudno ich rozpoznać, w większości dzieci drobnych rzemieślników: szklarzy, blacharzy, szewców i krawców, zamieszkujących skromne domki na Bogdanówce, naprzeciw fabryki Sprechera (wódki i likieru). To taka przedmiejska bidota — wielu z nich przychodziło do szkoły boso... W swoich wędrówkach mijali zwykle nasze Bloki. Kiedy raz z jednym z nich — z Gerberem — siedłem w deszczowy dzień majowy, mówił że to lubi, bo wtedy rośnie...

Chyba zbyt duży nie wyrósł... A Gerberów było dwóch. Jeden flegmatyk, o przedwcześnie dojrzałej twarzy, o drugim można powiedzieć: „stürmerowski typ” o wypukłych, cybulastych oczach i odstających uszach. („Der Stürmer” — organ hitlerowskiej SA, zamieszczał m.in. karykatury Żydów tak żydowskie, że już bardziej być nie mogły...!). Obok nich na zdjęciu figuruje Gotfryd (mogę się oczywiście mylić w pisowni niektórych nazwisk, ale to chyba zrozumiałe). Nieźle się uczył, czego zupełnie nie można powiedzieć o grubym Starcku, o nalanych, tępych rysach. Chyba przekarmiany, co się zresztą często zdarzało w rodzinach żydowskich — szczególnie w wypadku jedynaków. Mówił nawet: zanim gruby schudnie, to chudego szlag trafi! Przy wielkim tłuszciochu mały Łozdernik, stale zaafierowany, żywo rozprawiający, rozdający i przyjmujący kuksańce. W zimie rozchelstany, w przekrzywionej czapce ceratowej z nausznikami. Tornister na jednym pasku, policzki czerwone, a pod nosem stale mokro. Taki mały hucpiarz. Często się spażniał, a na reprimendę ze strony pani, zawsze odpowiadał zaczynając od: „Nie, bo...”

Obok mnie stoi Józek Zimmerman. Siedzieliśmy w jednej ławce przez cały rok — może nawet ze względów alfabetycznych. Poważny chłopak, może zbyt poważny, ale schludnie ubrany. Być może miał kłopoty z językiem polskim, bo ścigał ode mnie. Ja mu się z kolei rewanzowałem na rysunkach, bo rysował bardzo ładnie i z dużą inwencją. Często pojawiały się w jego rysunkach postacie z popularnych gazetek i komiksów dla dzieci: „Karuzeli”, „Wędrowca”, „Świata Przygód” itd. Przy okazji dowiedziałem się, że i ja jestem Żydem bo siedzę z Żydem w jednej ławce. Dzieci bywają czasem okrutnie bezpośrednie, ale za to głupie i nie zawsze wszystkim to przechodzi z wiekiem... Po raz pierwszy zapoznałem się wtedy z problemem żydowskim i to postawionym na głowie, jak to u nas często. „Żydem” nazywali chłopcy także rudego (rudy ganzel), syna katolickiego blacharza i ministranta, który do szkoły przynosił kalendarz „Samoobrony Narodu”, rojący się od antyżydowskich karykatur. Zacząłem też wówczas zauważać to samo czasopismo z efektywnym rysunkiem na stronie tytułowej. Niektóre kioski (trafiki albo budki) były wytapetowane starymi, żółtymi już numerami. Oczywiście nie miałem pojęcia o ekscesach antyżydowskich (choć byłem świadkiem licznych rozruchów w 1936 roku), o „Falandze”, o wybijanych szybach, o

napisach: „Nie kupuj u Żyda”, „Firma chrześcijańska” itd. O getcie lawkowym i numerus clausus, o studenckich lagach i hasła: „Precz z Żydami—Żydówki z nami!”. Nie znalazłem też maksymy, w myśl której antysemityzm stwarzają sami Żydzi.

Żydzi radzili sobie jednak po swojemu. Przede wszystkim konkurencyjnym obniżaniem cen. Jak tam było z jakością — Bóg (nasz wspólny w zasadzie) raczy wiedzieć... Mama zabierała mnie często do Rynku na „kupno”. Bardzo tego nie lubiłem (zostało mi zresztą to do dziś!), ale teraz jestem Jej głęboko wdzięczny, bo dzięki temu poznałem lepiej swoje miasto. Na rogu Serbskiej, między kamiennymi „szkarpami” starej kamieniczki mieściły się sklepiki z nabiałem. W jednym z nich sprzedawała pyzata, rumiana Żydóweczka, która miała ulubione powiedzonko: „Żeby nie wiem jak...!”, którym odpowiadała np. na pytanie o świeżość masła, sera. A ja byłem u niej „bardzo grzeczny synciu — żeby nie wiem jak...!”. Może wtedy — ale też wtedy przysparzało jej to niewątpliwie klientów.

Niektóre ulice w okolicach Rynku były w całości opanowane przez ten ruchliwy i hałaśliwy handlowy żywioł. Np. Krakowska i Trybunalska. Nie było tam luksusu, ale było taniej, co dla wielu było najważniejsze! Były też rzeczy używane, np. książki; choć po te szło się zwykle na Batorego do fachowców, znawców i prawdziwych miłośników książek. Tyż Żydzi! Natomiast przy tych sklepach ustawiała się w poprzek chodnika cała rodzina, aby złowić, zagonić potencjalnego klienta. Cóż — konkurencja...! A ile przy tym było zwykłe zachwalania, cmokania, zachwyty, co zresztą mogło się odnosić zarówno do towaru, jak i do potencjalnego nabywcy. Iście wschodnie, bazarowe sceny. Kiedy osaczony znalazł się w sklepie, dowiadywał się zwykle że dostanie tu wszystko, o czym tylko zamarzy i to w najlepszym gatunku. Klient oczywiście pozwalał sobie w to wątpić. I tu następowała scena jak gdyby żywcem wyjęta z uroczych wspomnień Magdaleny Samozwaniec („Maria i Magdalena”): — „wątpię”? — Proszę bardzo — Mojsze, gib her die Schachtele mit dem „wątpię”! Co znaczy nie ma? — jeszcze wczoraj były! Może pan szanowny przyjdzie jutro — będą już świeżutkie „wątpię”...!!

Nie lubiłem tych ulic, pełnych harmideru, rejwachu i bałaganu. Teraz odkrywam tam z satysfakcją pięknie zachowane zabytki łwowskiej rzeźby i architektury, szczególnie z doby empire'u. Ulica Trybunalska związana jest z dwiema legendarnymi już postaciami z tego świata. Obie zupełnie różne, choć o identycznym imieniu: Naftuła, czyli Naftali. Pierwszy z nich, Töpfer, był właścicielem, a właściwie gospodarzem znanej knajpy („U Naftuły”) — w całym tego słowa znaczeniu, artystycznej. Przyjaciół i opiekun całej czterydziestki artystów różnej maści, której przewodził Jan Gall („Dziewczę z buzią jak malina”). Zarażony tą „malaryą”, naiwny, ale i ambitny Naftuła chwytł czasem za pędzel lub pióro, z różnymi zresztą skutkami.

Drugi, Naftali Botwin, chwytł częściej za broń, a jako karny członek Komunistycznej Partii Zachodniej Ukrainy (a jakże!) zastrzelił tu w 1925 roku prowokatora Cechnowskiego (z afery warszawskiej). Potem i z nim zrobiono to samo, mimo protestów organizacji międzynarodowych. Ale na Trybunalskiej było na ogół wesoło — dobrze się jadło i piło, bowiem nie tylko sklepy miały konkurencję — były tu jeszcze dwie popularne



Ul. Serbska z żydowskimi sklepikami z nabiałem. Zdjęcie autora.

knajpy, a tylko „kacenszprung” do Atlasa, lwowskiej Jamy Michalikowej (która to Jama była zresztą kiedyś Cukiernią Lwowską...). Tam, w nastrojowych wnętrzach rej wodził i tworzył Henryk Zbierzchowski, poeta, prozaik, dramaturg i satyryk, a przede wszystkim — bard lwowski. W słynnym lokalu gospodarzył z kolei Edziu Tarlowski, który już po wojnie prowadził „Wojentorg” w Łodzi... Tak to się właśnie plotło i na smutno, i na wesoło — same rodzinne z (gorzkimi) migdałami. Tak samo było i z tą fotografią, na której dopiero po latach można zauważyć zarys napisu z uczty Baltazara.

Na samym końcu zauważam na zdjęciu Brummera — może dlatego że taki mały, drobny. Po prostu Żydek, u nas to określenie, w przeciwieństwie do Centralnej Polski, było zarezerwowane dla małych chłopców. Dziecko starszawych już rodziców, w domu pewnie rozpieszczane. Pewnie dlatego pierwszy dzień w szkole, w obcym środowisku był dla niego tak dalece stresujący, że się „skosił” pod ławkę. Jak w tym starym kawale: „ogrodnik szczypa dziwki, ogrodnik szczyna trawę”. Inne dzieci też były wystraszone w różnym stopniu, niektóre płakały. W pierwszych dniach okupacji (Niemcy i Ukraińcy wyciągali Żydów z domów do różnych „prac porządkowych”, co było tylko pretekstem do znęcania się nad nimi). Mały Brummer z matką patrzyli na to z okna, zapłakani i wystraszeni, jakby już mieli przedsmak...



Ojciec z synem w bóżnicy. Rys. Tauberg, Wajngarten.

Lekcje religii mieliśmy jednocześnie, w innych klasach. Raz ksiądz wysłał mnie do ich „pana” z dziennikiem klasowym, który we Lwowie nazywał się „katalogiem”. A przerabialiśmy właśnie ten sam materiał, rodzaj opowieści ze Starego Testamentu, odpowiednio spreparowany i skomentowany dla pierwszaków. Rabin właśnie przepyttywał swoich pupilów (a moich kolegów), ale im coś niesporo szło. Zadał i mnie parę pytań, a kiedy nie wypadło to najgorzej, wykorzystał to, aby zawstydzić swoich podopiecznych, oto goj tak dobrze zna Biblię, a wy nie chcecie się uczyć religii, która jest waszą matką...?! Nie mogłem tego zresztą zrozumieć, — dla mnie były to niezwykle piękne i interesujące historie; rodzaj baśni ubranych w poświę-

cone ramy. Do dziś zresztą uważam Stary Testament za jedną z najbardziej zajmujących i sensacyjnych wręcz (delikatnie mówiąc...) powieści w literaturze światowej. A ich to coś nie brało, mimo że to właśnie „ich”!

Przed okupacją niemiecką przeżywaliśmy wspólnie sowiecką. Jeżeli już „wspólnie”, to raczej z poważniejszymi, kulturalnymi przedstawicielami tej społeczności, którzy myśleli i odbierali to podobnie jak my. Bo holota żydowska wygrażała nam przed nosami i wykrzykiwała: „już się skończyło wasze panowanie...! Już nie ma waszej zas... Polski...!”. Antysemityzm umacniało to w ich przekonaniach, innych zaś w nie wpędzało. A obie strony miały niewielkie pojęcie o tradycyjnym rosyjskim antysemityzmie, który nie tylko przetrwał, ale i rozwinął się w Sojuszu. Żydzi — komuniści i tacy komisarze polityczni to tylko jedna strona medalu. A żydowska republika Birobidżan (Obwód Autonomiczny) rozśmieszała wszystkich zainteresowanych. Zresztą i u nas „entuzjaści” zaczęli widzieć te sprawy inaczej. Wywózki nie omijały bogatych Żydów, szczególnie uciekinierów z Centralnej i Zachodniej Polski. Mówiono, że ci co we wrześniu całowali sowieckie czołgi, teraz chętnie by ich w d... pocałowali, żeby tylko sobie poszli. Mieszkała u nas w Blokach pewna samotna Żydówka; tzn. bez męża, ale z dzieckiem. Dość szpetna — ruda i piegowata. Chyba pracownica fizyczna. Dziecko było natomiast ładne — Krysia o złotych kędziorkach i niebieskich oczkach. Cóż, kiedy tresowane politycznie. Dziewczynka popisywała się na komendę takimi oto „lozungami”: „Chaj żywe towarzysz Stalin” — „Chaj żywe towarzysz Woroszyłow!”. Jej mamusia wymawiała to samo charczącym „r”. Popisywały się tak wobec Rosjanek, które masowo przyjeżdżały wraz z rodzinami, zajmując opuszczone mieszkania po wywiezionych Polakach. Wszystkie były z tego powodu bardzo zadowolone, roześmiane. My, chłopcy, nie byliśmy biernymi świadkami tych scen, ale dorzucaliśmy własne; zarówno dla adresatów, jak i dla rozbawionych pań. Nie muszę chyba dodawać, że zarówno w treści, jak i w formie i intencjach stanowiły one „coś wręcz przeciwnego”, czego się nie da przełknąć w obecności określonych wartości... Wątpię zresztą, żeby zostały gdzieś tam wysłuchane, nie mniej jednak jakoś się spełniły. Jedne nas opuściły w popłochu i udręce w 1941, drugie, niedługo potem trafiły do getta. A były chyba zbyt biedne, aby się uratować. Biedne...

Naszych żydowskich kolegów ubywało w klasie. Otwarto nowe szkoły, w których uczyli się swego języka Przygodnie spotkani w mieście pokazywali podręczniki i zeszyty z hebrajskim pismem, antyhitlerowskie czytanki. Byli z tego bardzo dumni. W drugim roku nauki (1940–41) wpadł do nas na krótko Garfunkel, jeszcze bardziej stürmerowski od Gerbera. Bataryga gródecki, którego wyrzucano z każdej szkoły. Ale fajny kumpel, chodziliśmy się bić z innymi bandami, gdzie miał swoich wrogów. Raz myśmy ich „nabęckali”, raz inni nas...

Przyszła też do nas i została Tonia — o historycznym nazwisku — Kahane. Ładna i miła czarnulka. Jej mniej ładna siostra chodziła do wyższej klasy. Ich rodzice mieli przed wojną sklep na Rogatce Gródeckiej, gdzie zaopatrywali się głównie chłopcy z pobliskiego targu. Tonia była nam bardzo bliska, koleżeńska. Kiedy raz, w dniu jakiegoś święta kościelnego poszliśmy ze szkoły demonstracyjnie do pobliskiego kościoła

(św. Józefa) — Tonia poszła także z koleżankami. Na moje zdziwione spojrzenie dziewczyna pokraśniała i rozłożyła ręce, co mogło oznaczać: na to nam przyszło..., cóż na to poradzić...?! „Na to” nam przyszło trochę później i rzeczywiście trudno było na to poradzić!

Nadeszła druga okupacja. Tonię widywaliśmy coraz rzadziej (a mieszkała w sąsiedztwie). Z Bloków zaczęli znikać powoli znajomi Żydzi. Mieszkała tam też, dobrze zadowolona wśród Polaków, rodzina Krothów. Ich syn, Janusz, był ode mnie starszy i trochę zarozumiały, ale kolega moich starszych polskich kumpi. Ponoć niezwykle uzdolniony matematyk. Chodził do XI gimnazjum, do którego i ja miałem pójść w przyszłości. Jego siostra, Zosia była już dorosłą panną, niezwykle sympatyczną i lubianą szatynką o niebieskich oczach. Nie miała zupełnie rysów semickich. Kiedy jej pobratymcy zaczęli nosić opaski z Gwiazdą Dawida, ona włożyła złoty łańcuszek z krzyżykiem. Uważałem to za świetny pomysł — w ten sposób mogła ocalać, ale nie wiem czy ocalała. Jej brata widziałem ostatni raz pod sklepem filatelistycznym na Akademickiej. Usiłował sprzedać swój klaser ze znaczkami.

Pewnej nocy Niemcy spalili prawie wszystkie synagogi, w tym piękną, gotycko-renesansową Złotą Różę (Gildene Rojze), Postępową, czyli tzw. Tempel i Starą Synagogę przy ul. Boimów. Ostały się jedynie dwie: przy ulicy Węglanej (też zabytkowa, trzymali w niej konie...) i między ulicami: Króla Leśzczyńskiego i Chocimską; chyba ze względów bezpieczeństwa... Ciekawe, bo w całej Generalnej Guberni bożnice w zasadzie ocalały — nawet i te stare, drewniane, które najłatwiej spalić. Także w Krakowie, a więc w „stolicy”. Nie wykluczone, że we Lwowie przyczyniła się do tego nadgorliwość sprzymierzeńca, tj. nacjonalistów ukraińskich, którzy zresztą demonstrowali swój zbrodniczy stosunek do Żydów na każdym kroku, a okazji do tego mieli niemało. Częściowo po to, aby się przypodobać nowym panom, a głównie dla dogodzenia temu, co się ma w genach — dla małojeckiej sławy!

Prasa gadzinowa zachlystywała się propagandą antysemit-

ką. Codzienny szmatławiec „Gazeta Lwowska” drukowała w odcinkach encyklopedię żydowską, w której niewybredne teksty ubrane były w podobną formę wierszową. Tygodnik „7 Dni” pokazywał m.in. żołnierzy z Legionu Żydowskiego pod nieprzyjacielskim bunkrem. Podpis brzmiał „Po co miotaczu ognia? — czasnek robi to samo...!” „Ilustrowany Kurier Polski” zamieścił całą rozkładówkę poświęconą tej formacji. Na jednej ze scenek Żydzi robią wymówki Anglikom: „Aj waj, John Bull, to nieładnie — a jak który z Żydów padnie...?!”.

Dowcipy te wyśmiewały żydowskiego żołnierza, znanego ze swych anegdotycznych cech w różnych armiach europejskich. Opierała się na tym zresztą cała masa szmoncesowych kawałów. Jak było w istocie, wykazały dobitnie walki partyzanckie, powstanie w getcie warszawskim, a przed wszystkim 3 wojny na Bliskim Wschodzie, kiedy to Żydzi bili się wreszcie o swoje! Kawale funkcjonowały dalej: najpierw antyżydowskie, potem antyarabskie, a właściwie stale antysowieckie, bowiem tzw. ostrze dowcipu kierowało się do tego, komu Związek aktualnie pomagał... Znane są też wielkie jubile urządzone przez „naszych” wyższych oficerów z okazji „naszych” zwycięstw na półwyspie Synaj. Bo w tym czasie wielu Żydów było w Ludowym Wojsku Polskim, ale wyłącznie w tzw. szarży-szeregowca coś trudniej było znaleźć — jakby wbrew moralnym strukturom organizacyjnym.

A swoją drogą, można by się zastanawiać, skoro już zaczęto we Lwowie wydawać polską prasę, dlaczego wybrano „ausgerechnet”, ten zhańbiony kolaboracją tytuł? Ba — spotyka się tam nawet nazwiska skompromitowanych w szmatławcu „redaktorów” z bardzo pochlebnym komentarzem. Nie trudno odgadnąć, jaki to program realizowała ówczesna „Gazeta Lwowska”, ale żeby aż tak...?!

Dla przykładu przypomnę, że jeżeli my Polacy odwracamy się z pogardą od „tryzuba”, to nie jest to bynajmniej potępienie jego geometrycznej formy. Chodzi oczywiście o wydarzenie wojenne, kiedy to zbiry spod tego znaku wymordowały w bestialski sposób półtora miliona obywateli polskich. W tym około miliona Żydów. Nazwisko, tytuł, godło, barwy państwowe — to w zasadzie rzeczy święte; chyba że są zhańbione czynami, za które — niestety — nie ma kary. A oprawcy mają już więcej pomników, niż ich ofiary.

cdn.



Resztki synagogi Złotej Róży. Zdjęcie autora



Szpital Żydowski we Lwowie

Wigilia 1943 w Kruhowie

Franciszek Zadeberny

Kiedy co roku w świąteczny wigilijny wieczór, wraz z moimi najbliższymi, śpiewam radosną kolędę „Wśród nocnej ciszy”, nie mogę uwolnić się od wspomnień tragicznych wydarzeń sprzed pięćdziesięciu lat, które miały miejsce w mojej rodzinnej wsi Kruhów. Dwudziestego czwartego grudnia 1943 roku wieczorem, kiedy we wszystkich domostwach szykowano się uroczysto do wieczerzy wigilijnej, do wsi wtargnął uzbrojony oddział banderowców. Dokonano mordu na mieszkających we wsi rodzinach polskich, w wyniku którego śmierć poniosło 18 osób — szesnaście narodowości polskiej oraz dwóch Ukraińców (najprawdopodobniej przez pomyłkę bandytów), którzy przebywali w tym czasie w polskich domach. Kruhowian, będących świadkami opisanych wydarzeń, pozbawiono na całe życie radości obchodzenia Świąt Bożego Narodzenia.

Wieś Kruhów przed wojną należała do powiatu Złoczów woj. Tarnopol, a po wybuchu wojny i zajęciu tych terenów przez okupanta sowieckiego, do rejonu Olesko woj. Lwów. Mord w Kruhowie, dokonany 24.12.1943 r., był pierwszym z serii mordów dokonanych przez Ukraińców na ludności polskiej Podola Zachodniego. Z tego względu był zupełnym zaskoczeniem dla niczego nie spodziewających się Polaków i stąd też tak duża liczba ofiar. Istotny był też dzień napadu, wybrany, jak mi się wydaje, z pełną premedytacją i perfidią. Trzeba bowiem wspomnieć w tym miejscu o klimacie i tradycjach obchodzenia Świąt Bożego Narodzenia w tamtych stronach.

W okolicach Kruhowa panuje klimat kontynentalny. Na przełomie listopada i grudnia leży już śnieg. Teren jest górzysty (początki pasma Gologór), pełen przepastnych jarów i niezliczonej ilości krzyżujących się strumyków. Znajdują się tam też źródła dwóch rzek: w okolicach Werchobuża — Bugu, a nicopodal, w przepastnym jarze o skalnych półkach porośniętych wiecznie zielonym bluszczem, rzeki Seret. W takiej scenerii i niemal bajkowym krajobrazie Święta Bożego Narodzenia, a w szczególności wieczór wigilijny, były zawsze czymś wyjątkowym. Samo przygotowywanie się do wieczerzy wigilijnej było już dużym przeżyciem, zwłaszcza dla dzieci. Przygotowania obejmowały własnoręczne robienie różnych ozdób choinkowych: łańcuchów z kolorowych papierków, aniołków z przyklejonymi główkami, gwiazd i gwiazdeczek z tekturki oklejonych posrebrzonym papierkiem, wisiorków z tekturek i koralików. Choinkę, wysoką aż „pod sufit”, przynoszono prosto z lasu. Następowo jej uroczyste ubieranie. Najważniejszy na „czubku” choinki był, zakupiony w sklepie, „szpic” lub duży, piękny anioł albo srebrna gwiazda. Na choince wieszano bombki i oczywiście słodczyce — w zależności od zasobności kieszeni rodziców mogły to być różne ozdoby, kolorowe czekoladki, mikołaje, aniołki z bierników, albo też pieczone w domu i zawieszane na nitce ciasteczka.

Dużym przeżyciem było dla nas, wówczas dzieci, wypatry-

wanie pierwszej gwiazdki na niebie, a następnie wnoszenie przez ojca do izby tzw. dziada, tj. snopka pszenicy. Wniesienie dziada było poprzedzane formułą przywitania: „Czy przyjmiecie na wieczerzę i nocleg?”. Po chóralnym zaproszeniu przez wszystkich domowników, dziad był umieszczany na krześle w rogu izby. Następowo wspólna, głośna modlitwa, dzielenie się opłatkiem połączone ze składaniem sobie życzeń. Wieczerzę spożywano z jednego talerza, przy stole nakrytym białym, lnianym obrusem, pod którym układano siano. Najradosniejszym, kulminacyjnym momentem wieczerzy było wspólne śpiewanie kolęd i pastorałek.

Po wieczerzy wszyscy udawali się w odwiedzin do krewnych i znajomych. Domy, w których spożywano wieczerzę wigilijną stały otworem. Ponieważ wioska, licząca wówczas ok. 150 domostw, była w połowie polska, a w połowie ukraińska, niekiedy w domach polskich przebywali sąsiedzi lub krewni Ukraińcy.

Do dziś wspominam odwiedzin u mojej babci, Pauliny Fedyczkowskiej. Babcia mieszkała w chatce na polanie, malowniczo położonej wśród niskich pagórków porośniętych gęstym lasem. Polanę, oddaloną około 1 km od wsi, zwano wśród mieszkańców „Zadoliną”. Wokół pełno było śniegu, który w księżycową noc skrzył się białą i skrzypiał pod nogami. Idąc do babci zabieraliśmy ze sobą sanki bądź narty. Przed wejściem do domu babci śpiewaliśmy pod oknem kolędę. U babci czekała na nas dziecięca dodatkowa atrakcja, tzw. dziaduch — miękka słoma rozścielona na podłodze. Babcia wyjmowała z szuflady listy i kartki z życzeniami od córki Broni, mieszkającej w Ameryce i pozostałych dzieci mieszkających w innych częściach Polski. Dzielił się z babcią opłatkiem, składali życzenia. Potem do późna trwały nasze zabawy na śniegu, zjeżdżanie po ciemku albo w świetle księżyca na sankach i nartach. Takie wigilie do dziś pamiętam, jednak tragiczna Wigilia roku tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego na zawsze przesłoniła kirem te wspomnienia.

Miałem wówczas piętnaście lat. Nasz dom oraz stojący obok dom mego stryja, znajdowały się przy drodze do wsi Manajów, około dwieście metrów od centrum wsi. Po kolacji wigilijnej, poszedłem wraz z siostrą w odwiedzin do stryja. Była może godzina osiemnasta. Pogoda była mglista, padał deszcz ze śniegiem. Nagle, od strony wsi, dotarły do nas głuchoe odgłosy strzałów karabinowych i z broni maszynowej. Po niedługim czasie spostrzegliśmy jadące bardzo szybko droga w kierunku Manajowa sanie, wiozące, jak się później okazało, banderowców. W chwili, gdy nas mijaly usłyszeliśmy ponad głowami świst kul — ktoś ostrzeliwał uciekających napastników, ale nieskutecznie. Kiedy sanie oddaliły się podbiegł do nas zdyszany brat mojej stryjenki i późniejszy mój szwagier, Grzegorz Sokołowski. W rękę trzymał karabin maszynowy. Powiedział nam, że to on strzelał do banderowców, którzy zamordowali wiele osób, w tym również jego ojca.

Z późniejszej relacji wiemy, że po wieczery wigilijnej wyszedł z domu i udał się w kierunku zabudowań sąsiada. W pewnym momencie usłyszał strzały, krzyki i jęki w domu Jana Muzyki. Bez zastanowienia pobiegł do domu swego kuzyna, u którego ukrywał, zabrany latem 1941 r. z porzuconego w okolicy sowieckiego czołgu, karabin maszynowy. Uzbrowiony się wrócił do domu — niestety było już za późno na odsiecz, jego ojciec leżał na podłodze w kałuży krwi. Mimo szoku, postanowił iść z odsieczą bezbronnym sąsiadom. Podążył więc w kierunku skąd dochodziły strzały. Pierwszą serię oddał do grupy banderowców oblegających plebanie, w której zabarykadował się ksiądz Kazimierz Walków wraz ze swoim bratem Florianem. Potem skrajem wsi, wzdłuż linii lasu, przedarł się w pobliże zabudowań mego wuja, Kazimierza Fedyczkowskiego, skąd po dokonanej rzezi, wychodzili banderowcy. Ich również ostrzelał serią z kaemu zmuszając do ucieczki. Przez otwarte drzwi wszedł do środka, gdzie jego oczom ukazał się wstrząsający widok okrwawionych martwych ciał. Po chwili był z powrotem na drodze, którą uciekali bandyci. Chroniąc się przed kulami za wrakiem czołgu pozostawionego przez Sowietów w 1941 r., oddał jeszcze kilka serii w ich kierunku. To właśnie były te strzały, które słyszałem z siostrą stojąc na drodze, i które, jak się okazało, niechybnie uratowały nam życie.

Wśród pomordowanych większość stanowili byli legioniści, działacze organizacji „Strzelec” oraz członkowie Armii Krajowej. A oto pełna lista zamordowanych:

rodzina Brutkowskich: Stanisław, Franciszek, Kazimierz, Andrzej, Michał, Paweł,

rodzina Fedyczkowskich: Kazimierz, Władysław,

rodzina Muzyków: Wincenty, Jan, Michał,

rodzina Dolisznych: Jan, Władysław,

rodzina Mikusiów: Jan, Władysław,

rodzina Sokolowskich: Stanisław.

Zginęło również dwóch Ukraińców: Jurko Martynyszyn,

zastrzelony przez okno w domu Jana Muzyki (wzięty widocznie z niego) oraz Atanas (nazwisko ?) w domu Wincentego Muzyki.

Napadu dokonali banderowcy, prawdopodobnie mieszkańcy okolicznych wsi z udziałem miejscowych Ukraińców, którzy rozprowadzali i wskazywali rodziny polskie. Zabijano strzałami z karabinów lub automatów. Do Kazimierza Fedyczkowskiego i jego synów: Stanisława i Władysława strzelano z automatu. Władysław trafiony kulą w głowę poniósł śmierć na miejscu. Ojciec Władzia, postrzelony w brzuch, żył jeszcze przez sześć godzin. Staszek natomiast dostał cztery strzały z automatu i kiedy wijąc się z bólu osuwał się na podłogę, podszedł do niego jeden z banderowców celując mu z rewolweru w tył głowy. Pocisk na szczęście trafił poniżej lewego ucha i wyszedł w okolicy szczęki górnej. Byłem tam zaraz po dokonaniu morderstwa. Ktoś wezwał lekarza, który był synem ukraińskiego popa — Duško Suchoćkija. Po opatrzeniu ran polecił, aby natychmiast odwieźć Staszka do szpitala w Złoczowie. Udało się go uratować.

Ojciec Staszka, były legionista, plutonowy rezerwy i przedwojenny komendant „Strzelca”, zmarł po sześciu godzinach męczarni. Był cały czas przytomny, przed śmiercią wyznał synowi swoją ostatnią, ojcowską wolę: „Stasiu, ty bę-

dziesz żył. Nie mścij się!”. Skamieniały patrzyłem w martwą twarz Władzia, mojego kuzyna i towarzysza codziennych zabaw, na ubroczonego we krwi Stasia i umierającego wuja Kazimierza. Było strasznie.

Mówiono, że kilka dni po morderstwie, miejscowi Ukraińcy, których podejrzewano o współudział w napadzie, wymieniali ze sobą takie pytania: „Jak tam siano?”, na co padała odpowiedź: „Siano jak lilija.” Ukryta w tym była aluzja do fragmentu kolędy, którą śpiewano u mojego wuja tuż przed dokonaniem mordu.

Anna Fedyczkowska, moja ciocia, wytrzymała ból po stracie męża i syna poświęcając się ratowaniu Stasia. Stale utrzymywała z nim kontakt w szpitalu w Złoczowie, potem, kiedy wyzdrowiał, przeszła kolejne ciężkie doświadczenie odbywając długie wędrówki do Złoczowa i Lwowa w celu udowodnienia przed władzami sowieckimi niewinności syna. Po opuszczeniu szpitala został on bowiem aresztowany pod zarzutem nielegalnego posiadania broni i osadzony w więzieniu mieszczącym się na zamku w Złoczowie. Opowiadał nam później, że przebywał w jednej celi z swymi potencjalnymi oprawcami — banderowcami. Pewnego dnia jeden z Ukraińców rozkazał mu: „Ty, Polak, zaśpiewaj no jeszcze Polska nie zginęła”. Nie miał wiele do stracenia, więc wstał i łamiącym się głosem zanucił pierwszą strofę „Mazurka Dąbrowskiego”. Robił to ze świadomością, że za chwilę zostanie przez banderowców zamordowany bądź skatowany. Jego odwaga musiała się jednak spodobać „prowindykowi” banderowców, gdyż zostawiono go w spokoju. Dostało się za to Ukraińcowi, który zdaniem „prowindyka” nigdy w podobnych okolicznościach nie odważyłby się zaśpiewać „Szcze ne wmerła Ukraina”. Staszek został zwolniony z więzienia w czerwcu 1945 r. Wyjechał później na Zachód. Założył rodzinę, ukończył wyższe studia we Wrocławiu. Obecnie mieszka wraz ze swoją matką w Górze, w woj. zielonogórskim. Jest na emeryturze. Po wojnie Anna jeździła kilkakrotnie do Kruhowa. Dzięki jej staraniom na wspólnej mogile na cmentarzu w Kruhovie powstał pomnik z dużym żelaznym krzyżem i wyrytym w kamieniu napisem: „BRATER-SKA MOGIŁA POLAKÓW POLEGŁYCH 24.12.1943 R.” Swojemu synowi nie pozwala jednak do dziś na odwiedziny rodzinnych stron. Strach o niego pozostał.

Matka Brutkowskich, utraciwszy męża i dwóch synów, ciężko zachorowała. Zmarła w rok po masakrze. Uratowali się, tylko dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności, jej dwaj synowie: Franciszek i Ludwik. Franciszkowi życie uratowało to, że w czasie mordu był na froncie w szeregach Armii Czerwonej, do której został wcielony po wkroczeniu Sowietów na te tereny w 1941 r. Przeżył wojnę, mieszka w okolicach Kluczborka, w woj. opolskim. Drugi z braci, Ludwik, w feralny wieczór wigilijny był u sąsiada. W rodzinnym domu rzadko przebywał, ponieważ zbiegł z niemieckiego „baudienstu”, wskutek czego musiał się nieustannie ukrywać przed Niemcami i ukraińską policją. Po przejściu linii frontu przeszedł 24 km pieszo do Złoczowa, a następnie dalsze 75 km do Lwowa, gdzie w szpitalach przebywała jego chora matka. Matki nie udało się niestety uratować, zmarła w styczniu 1945 r. Po wojnie Ludwik wyjechał jak inni na Ziemię Zachodnią. Dziś mieszka w Kluczborku.

Po tragicznej wigilii 1943 r., pod patronatem AK, zorganizowano w Kruhowie polską samoobronę. Bez przerwy, w dzień i w nocy, wystawiano czaty. Na noc, dla zwiększenia bezpieczeństwa opuszczano własne domy, gromadząc się i barykadując w jednym, wybranym losowo, gospodarstwie. Nierzadko, nie bacząc na warunki pogodowe (była wówczas mroźna zima), spędzano noce pod gołym niebem albo w stodolach na sianie, czy też na strychach. Bardzo często używano fortelu polegającego na ukrywaniu się w obejściach Ukraińców, którzy nawet nie byli tego świadomi. Bywało też i tak, że wprost szło się do chaty Ukraińca, barykadowało drzwi od wewnątrz i wraz z nim i jego rodziną spędzało noc.

Jak już wspomniałem, mord w Kruhowie był tylko prelude do serii mordów na ogromną skalę dokonywanych w całej okolicy. Tam, gdzie Ukraińcy sami nie mogli pokonać Polaków, pomagały im zorganizowane jednostki SS–Galizien, tak jak to miało miejsce podczas napadu, a następnie wymordowania całej wsi polskiej — Huty Pieniackiej w dniu 28. lutego 1944 r., oddalonej od Kruhowa o niecałe pięć kilometrów. Zamordowano wówczas 868 osób.⁽¹⁾ Na Hucie Pieniackiej, skąd wywodził się mój dziadek Wojciech Fedyczkowski oraz babcia, byłem na drugi dzień po pacyfikacji. Było nas sześć osób: ja, dwóch braci Muzyków, Grzegorz Sokolowski, moja siostra Józefa oraz moja kuzynka Stefania Fedyczkowska. Na Hutę pojechaliśmy saniami przez wieś Łukawiec. Byliśmy naoczniymi świadkami tego, co się wydarzyło. Huta jeszcze dymiała, w spalonych stodolach, w piwnicach pełno było zwęglonych zwłok. Na drodze, na podwórzach leżeli zabici: kobiety, mężczyźni i dzieci. Utkwił mi w pamięci taki obraz: tuż przy spalonym domu leżała twarzą do ziemi kobieta, pół ciała było zwęglone, druga połowa, okryta krótkim kożuskiem, była tylko osmalona. W kościele, do którego spędzano ludzi z całej wsi, by ich potem rozdzielić, zapędzić do stodół i żywcem spalić, było pełno krwi. Tabernakulum było rozbite i zbezczeszczone. Na podłodze leżały rozrzucone hostie, na stopniach ołtarza czerwienila się krew. Wszystko to wyglądało wstrząsająco.

Po wyjściu z kościoła napotkaliśmy pierwszych żywych ludzi. Był to ksiądz Jan Cieński⁽²⁾ ze Złoczowa, który szedł drogą wiodącą z Werchobuża wraz z dwoma ministrantami niosącymi krzyż. Zamierzali prawdopodobnie dokonać choćby symbolicznego pochówku ofiar. Z księdzem rozmawialiśmy tylko przez chwilę. Pamiętam, że powiedział do nas: „Natychmiast odjeżdżajcie, chcecie jeszcze pomnażać te ofiary?” Być może to ostrzeżenie spowodowało, że do Kruhowa wracaliśmy inną drogą. Dzięki temu, jak się później okazało, uniknęliśmy zasadzki jaką przygotowali na nas Ukraińcy w jarze między Hutą a Łukawcem.

Później były dalsze napady banderowców na Kruhów, ale

często natrafiali oni na zorganizowany opór i były tylko pojedyncze ofiary. Polskie rodziny były coraz lepiej uzbrojone, szczególnie po przejściu frontu w lipcu 1944 r. Miarą uzbrojenia może być stan posiadania broni w naszej rodzinie. W skład rodzinnego arsenału wchodził: jeden rosyjski automatyczny karabin dziesięciostrzałowy, jeden karabin niemiecki typu mauzer, jedna pepesza, jeden ręczny karabin maszynowy (niemiecki), jeden niemiecki miotacz min oraz granaty wszelkiego typu (obronne, zaczepne, przeciwczołgowe).

W końcu nastąpił ostatni rozdział tragedii Polaków z Kruhowa. Aby zmusić ich do wyjazdu na zachód władze sowieckie zrobiły 18. marca 1945 r. tzw. obławę, w wyniku której do rejonu (powiatu) zabrano dużo mężczyzn i broń. Dziwnym zbiegiem okoliczności w nocy z 19. na 20. marca 1945 r. na wieś napadli banderowcy i spalili wszystkie polskie gospodarstwa, z wyjątkiem tych, które sąsiadowały bezpośrednio z ukraińskimi. To był epilog polskich rodzin z Kruhowa.

Tę tragiczną historię spisałem powodowany chęcią pozostawienia jakiegoś materialnego śladu zdarzeń tamtych dni i aby dać świadectwo prawdzie ku przestrodze przyszłych i pamięci minionych pokoleń Polaków ze Wschodu. Chciałem także osobistym świadectwem uzupełnić i uściślić informacje zawarte w książce „Droga Krzyżowa Archidiecezji Lwowskiej w latach II wojny światowej 1939–1945”, wydanej we Wrocławiu w 1983 r., autorstwa ks. bp. Wincentego Urbana, sufragana wrocławskiego. W niej, na str. 138 w rozdziale zatytułowanym „Dekanat Żółkiew”, znalazłem taką wzmiankę: „Ks. Kajetan Gruszecki ze Złoczowa doniósł o zamordowaniu 14. stycznia 1944 roku w Kruhowie 16 Polaków. Ks. Walzków ocalał.”

Autor podkreśla, że informacje zawarte w książce są niepełne, fragmentaryczne, zdobywane w trudnych warunkach. Zgadzam się z tym i jednocześnie podaję sprostowanie: Kruhów należał do dekanatu Złoczów, parafii Sasów. Podczas pierwszego mordu zginęło rzeczywiście 16 Polaków, ale było to 24 grudnia 1943 r., a nie — jak mylnie podano — 14 stycznia 1944 r.

Wspomniana książka jest jedyną z jaką się zetknąłem, w której udokumentowano tak dużo zbrodni dokonanych przez Ukraińców na bezbronnej ludności polskiej na Wschodzie. W książce cytowane są — jak memento — słowa gen. Hallera:

„Prosimy Boga, by z tej krwi ofiarnej nie powstał już żaden krwawy czy ognisty mściciel, lecz by Bóg — Sam Mściciel — w miłosierdziu swoim połączył bratnie narody w serdecznym uścisku przebaczenia.”

Czy tak się stanie? — zadaje sobie pytanie autor książki. Pytanie to zadaje sobie i ja.

Kłuczbork, w grudniu 1992 r.

(1) Liczbę zabitych podaję na podstawie książki A. Kormana „Nie ukarane zbrodnie SS–Galizien z lat 1943–1945”, wyd. Londyn 1989, str. 39. Tam również czytamy: „Huta Pieniacka to większa tragedia, aniżeli czechosłowackie Lidice, czy francuskie Oradour, o których po wojnie głośno było w Europie i na świecie.”

(2) Ks. Jan Cieński był kapłanem w Złoczowie od roku 1938, przez okres okupacji hitlerowskiej, stalinowskiej i walk bratobójczych na Ukrainie. Nie wyjechał do Polski i nie opuścił nielicznych pozostałych wiernych. Zmarł w Złoczowie w grudniu 1992 roku.

Jeszcze o czerwcowych egzekucjach

Konrad Sura

W Nr. 28 – 1995 „Semper Fidelis” przeczytałem artykuł Jana Kielanowskiego pt. „Czerwcowe egzekucje w lwowskich więzieniach”. Podobnie jak Autor byłem świadkiem tych okrucieństw i staram się poznać jak najwięcej danych na ten temat. W zakończeniu artykułu Autor wyraża życzenie, by kiedyś można było ogłosić dokumenty zbrodni i wspomina, że „podobno istnieje zarządzenie władz ZSRR z r. 1941, by więźniów ewakuować, a w razie niemożliwości likwidować”.

Chciałem Autorowi i Czytelnikom „SF” powiedzieć, że pierwsza próba zebrania dokumentów na temat rzezi, wykonanej przez NKWD, została zrealizowana przez Ośrodek „Karta” wraz z Archiwum Wschodnim, Ośrodkiem Badań, Informacji i Upowszechniania „Memorial” oraz Państwowym Archiwum Federacji Rosyjskiej w wydanej w bieżącym roku książce pt. „Drogi śmierci”. Ewakuacja więźniów sowieckich z Kresów Wschodnich II Rzeczypospolitej w czerwcu i lipcu 1942”. Wprawdzie Redakcja stwierdza we wstępie:

„Książka jest pierwszą próbą prezentacji zgromadzonych do tej pory dokumentów i ustaleń — bez ostatecznej weryfikacji. Będzie ona możliwa dopiero po odtajnieniu wszystkich zachowanych dokumentów sowieckich, ogólnych instrukcji, raportów z przebiegu akcji i spisów rozstrzelanych — rozproszonych po archiwach Rosji, Ukrainy, Białorusi, Litwy”, ale już zebrany materiał daje przerażający obraz nieludzkiego systemu komunistycznego. Książka składa się z czterech członów:

1. Wrocławski historyk Krzysztof Popiński spenetrował relacje żydowskie i ukraińskie, a także dokumenty niemieckie oraz zebrał relacje 11 świadków wydarzeń

2. Aleksander Kokurin wydobył z Państwowego Archiwum Federacji Rosyjskiej i opracował dokumenty Zarządu Więziennictwa ZSRR

3. Aleksander Gurjanow zebrał wybór dokumentów Wojsk Konwojowych NKWD

4. Ostatnią część stanowią wykazy osób rozstrzelanych w więzieniach. Znajduje się tam listę 640 rozstrzelanych w więzieniu Nr 1 przy ul. Łąckiego oraz 300 w więzieniu przy ul. Zamarstynowskiej.

W książce zamieszczono też odpis pisma z 4 lipca 1941 Zastępcy Komisarza Ludowego Spraw Wewnętrznych ZSRR do Komisarza Ludowego tow. Berii, przypominające, że wywożenie więźniów ze strefy przyfrontowej uważa za niecelowe ze względu na przepełnienie więzień na tyłach. Proponuje wywozić tylko więźniów, przeciw którym toczy się śledztwo niezbędne dla wykrycia organizacji dywersyjnych, terrorystycznych oraz agentur wroga. Zwolnić proponuje kobiety z dziećmi, osoby niepełnoletnie, skazanych za przestępstwa pospolite, służbowe, a wobec wszelkich pozostałych stosować najwyższy wymiar kary — rozstrzelanie (wyszczególnia miera nakazania). Praktyka jak wiemy stosowana była już wcześniej, czego dowodzą czerwcowe zdarzenia we Lwowie i innych miejscowościach Kresów Wschodnich II Rzeczypospolitej.

Z życia Towarzystwa i zaprzyjaźnionych organizacji

Święto pionierów podwrocławskiego osiedla w Wojnowie — pierwsi byli dublanie

Z. Umański

Latem 1945 roku Wrocław leżał w gruzach i pierwsze transporty przesiedleńców z b. kresów II RP kierowane do pobliskich, mniej zniszczonych przez wojnę miejscowości. I tak pociąg z mieszkańcami Dublan spod Lwowa i okolic trafil 7 lipca tego roku do niewielkiego osiedla w pobliżu Wrocławia o niemieckiej nazwie Drachenbrum. Przymusowi przesiedleńcy, żeby poczuć się bardziej swojsko na piastowskiej wprawdzie, ale obcej im ziemi, od razu „przechrzcili” osiedle na Dublany i wybrali wójtem swojaka-dublanina Michała Lachowskiego. Wkrótce przybył tu kolejny transport przesiedleńców spod Lwowa, a jesienią — ostatni, ale już z kieleckiego. 20 października 1945 roku ich dzieci rozpoczęły tu naukę — „W polskiej szkole z polskim godłem. Wzruszająca była to chwila...” — zanotowała w kronice szkoły jej pierwsza nauczycielka, pani Danuta Wolska. Tak zaczęła się powojenna historia tego niedużego podwrocławskiego osiedla.

Minęło już pół wieku od przymusowego przyjazdu tu pierwszych przesiedleńców z Dublan na kresach. Przez te lata, niegdyś małe Dublany wrocławskie, nie tylko zmieniły nazwę na

Wojnow (w 1947 roku z inicjatywy ówczesnych władz w „troscie”, żeby stara, nadana przez pionierów, nie budziła w nich resentmentów) — ale także oblicze osiedla. W czynie społecznym jego mieszkańców, przy finansowym wsparciu państwa, założono tu wodociąg, doprowadzono gaz, zmodernizowano sieć elektryczną i drogi, zbudowano dużą szkołę, rozwinęło się budownictwo. Obecnie zakładana jest kanalizacja, opracowano program telefonizacji Wojnowa, w czym duże zasługi i wkład Rady Osiedla, której przewodniczący inż. Tadeusz Bereżański, radny wrocławski. W Wojnowie i osiedlach obok Strachocinie i Swojczycach mieszka się i żyje zupełnie inaczej niż zaraz po wojnie, choć nie były zniszczone. Dzięki bliskości Wrocławia wielu mieszkańców zdobyło nowy zawód, wykształcenie. Także ich dzieci. Jednak dublanie — jak się tu nazywają kresowiaczy — z nostalgią wspominają pierwsze, trudne lata w swojej nowej, malej ojczyźnie na ziemiach zachodnich. I dlatego z okazji półwiecza osiedlania się tutaj, choć przymuszonego, postanowili urządzić spotkanie pionierów tego osiedla. Bo z każdym rokiem jest ich już mniej...



Spotkanie. Fot. Piotr Jeszke.

Inicjatorami i współorganizatorami byli Tadeusz Reder, pasjonujący się dziejami tego rejonu ziemi wrocławskiej i osiedla oraz Jan Dumański — obaj z Dublan kresowych, a także lwowianka Krystyna Karbownik — pedagog, nieustrudzona działaczka społeczna, prezes Wrocławskiego Oddziału Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Płd.-Wsch. (m.in. dzięki niej co roku kilkadziesiąt dzieci rodzin polskich pozostałych na Ukrainie, spędza wakacje na Dolnym Śląsku i zwiedza ojczyznę ich ojców). Tę inicjatywę pionierów wspomogła finansowo Rada Osiedla, a i sami dublanie „zrzućili się” po symbolicznej złotówce (bo przecież nie wypada spotykać się przy pustym stole) oraz pomogli, całymi rodzinami, w przygotowaniu imprezy. I tak, z zaplanowanego na kameralne spotkanie pionierów, przekształciło się w święto mieszkańców osiedla Wojnow oraz sąsiednich — Strachocina i Swojczyc. A odbyło się nie w lipcu, w półwiecze przybycia tu pierwszego transportu przesiedleńców z Dublan, lecz we wrześniu, w rocznicę zdradzieckiej napaści ZSRR na walczącą z Niemcami Polskę. Od tej bowiem daty zaczęła się gehenna kresowiaków.

Spotkanie, jak każda tradycja, rozpoczęło się uroczystą mszą św. w miejscowym kościele. Celebrował ją ks. dr Władysław Wołyniec z Papieskiego Seminarium Duchownego w asyście księży z parafii św. Jacka. Okolicznościową homilię wygłosił proboszcz parafii ks. Jarosław Grabiak, śpiewały pięknie podczas mszy Danuta Paziukówna — b. solistka Opery Wrocławskiej, obecnie pedagog w Akademii Muzycznej i Janina Si-



Chór TML „Harfa”. Fot Piotr Jeszke

ciarz-Danielewska, dublanka, b. solistka Operetki Wrocławskiej oraz chór TML „Harfa”. Na zakończenie wspólnie odśpiewano „Rotę”.

Oficjalna i towarzyska część spotkania pionierów osiedla odbyła się w miejscowej szkole, która udostępniła im w tym dniu swoje pomieszczenia. Przybyło 120 przesiedleńców — pierwszych mieszkańców Dublan, później Wojnowa oraz honorowi goście, wśród nich dr Leonard Smółka — wiceprzewodniczący Rady Miejskiej Wrocławia, prezes Towarzystwa Miłośników Wrocławia. Przekazał on pionierom serdeczne pozdrowienia i życzenia od władz miejskich miasta oraz wrocławian, inż. T. Bereżański — od Rady Osiedla, a przedstawiciele Zarządu Głównego Tow. Miłośników Lwowa i Kresów Płd.-Wsch. — od kresowiaków. Decyzją władz tego towarzystwa, dwaj mieszkańcy osiedla, kresowiaci, nieustrudzeni działacze na rzecz tego środowiska — Zdzisław Piwko i Kazimierz Pełc zostali uhonorowani Złotymi Odznakami TML i KPW. Gratulacje odznaczonym, a wszystkim pionierom osiedla, życzenia długich lat życia i pomyślności złożył autentyczny... kominiarz, pierwszy i przez długie lata jedyny czyszczący kominy w podwrocławskich Dublanach Stanisław Malenta, ubrany w czarny „służbowy” strój, z kominiarskimi akcesoriami i cylindrem na głowie. Przyjęto je entuzjastycznie...



Pani Krystyna Karbownik i pan Stanisław Malenta.
Fot Piotr Jeszke

A potem uczniowie SP nr 53 recytowali wiersze i śpiewali piosenki o ziemi ojczystej, przygotowane specjalnie na te spotkanie oraz przedstawili inscenizację legendy o miejscowym smoku Strachecie, a chór „Harfa” zaśpiewał popularne pieśni patriotyczne i kresowe, w tym piękną „Łyczakowską Madonę”, autorstwa zmarłego niedawno Jerzego Michotka. Śmiech i brawa towarzyszyły występom Mańka i Józka z Wrocławskiej Radiowej Lwowskiej Fali, czyli Jana Słabego i Tadeusza Wojnarowicza, którzy specjalnie przyjechali, żeby „rozweselić pionierską chebrę śmiesznymi hecamy zasuwanymi prawdziwym lwowskim balakiem”. Oczywiście nie zabrakło tu też Ciotki Bańdziuchowej — Jadwigi Handlowej, która niczym na lwowskich Krzykidłach rozłożyła się ze swoim — towarem — nagraniami lwowskich piosenek, „Gazetą Lwowską” miesięcznikiem „Semper Fidelis” i wydawnictwami o tematyce kresowej, zachwalając je śpiewną lwowszczyzną łyczakowską...

Ożyły wspomnienia sprzed pół wieku. Młodość na kresach, wypędzenie ze stron ojczystych, udręka przesiedlenia, trudy urządzania życia od nowa. Pierwsze wesela, święta, chrzci-

ny... Wspominano tych, którzy już odeszli, ale pozostali w pamięci mieszkańców. Pozostał po nich ich wkład pracy w rozwój osiedla i konsolidację pionierskiej społeczności oraz pamiątki. Można je było obejrzeć na wystawie, którą organizatorzy spotkania urządzili w hallu szkoły: widokówki, litografie, mapy Dublan i okolicznych miejscowości, zdjęcia rodzinne i zbiorowe, kresowe ubiory, przedwojenne bankiety, a nawet książka strażackich dyżurów w Hodowicy, prowadzona od 1930 roku. Wszystkie przywiezione stamtąd w pamiętnym 1945 roku. A obok nich — świadectwa organizowania się polskiego życia w podwrocławskich Dublanach, urzędowe pisma, po polsku i rosyjsku o zatwierdzeniu rolnika Michała Lachowskiego na wójta gminy, o przyjęciu do pracy 10.X 1945 Danuty Wolskiej

w charakterze nauczycielki do powszechnej szkoły otwieranej w Dublanach. Jej zapiski o urządzaniu tej szkoły, kłopotach, nauce w domu z powodu braku opału. Pierwszy numer wrocławskiej gazety „Nasz Wrocław” i inne późniejsze, które utrwaliły obraz i atmosferę tamtych dni, znane już tylko pionierom...

Może za pół roku odbędzie się podobne spotkanie — ale już wnuków pionierów z 1945 roku, a na wystawie okolicznościowej nasza gazeta będzie kolejnym dokumentem, przekazem dla potomnych: z jubileuszowego spotkania pionierów podwrocławskiego osiedla Wojnów? Bo w piękną wrześniową niedzielę 1995 roku w nim uczestniczyłem, wino z nimi piłem i słuchałem ich wspomnień...

Pokucie — Ziemia Vincenza

W auli Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Wrocławiu od 1 września do 6 listopada br. czynna była wystawa „Po-



kucie — Ziemia Vincenza”. Zorganizowana staraniem Oddz. TML i KPW — Pokucie oraz Muzeum Historycznego Miasta Wrocławia — Oddz. Arsenal przedstawiła niezwykle bogaty przekrój kultury materialnej i duchowej tego regionu. Złożyło się nań dziedzictwo polskie, bogaty świat folkloru huculskiego oraz elementy kultury żydowskiej. Wysoka frekwencja zwiedzających, oraz wpisy do księgi pamiątkowej świadczą o tym, że ci którzy wystawę zwiedzili (z Polski i z zagranicy) właściwie ocenili bogactwo dokumentów i eksponatów.

W organizację tej wystawy duży wkład pracy włożyły panie: mgr inż. arch. Bożena Krupska z TML i KPW — Pokucie oraz znany fachowiec od ekspozycji kresowych st. kustosz Muzeum Historycznego Miasta Wrocławia mgr Irena Zielińska.

Szkoda tylko, że wystawa o takim wysokim poziomie merytorycznym i artystycznym nie została eksponowana w innych miastach Polski.

Red.

Żołnierze Armii Krajowej Obszaru Lwowskiego — Oddziałów Leśnych „Warta” upamiętnieni w obchodów Święta Odzyskania Niepodległości Polski w Łańcucie

W czasie obchodów Święta Odzyskania Niepodległości Polski 11 listopada br. w Łańcucie została odsłonięta i poświęcona tablica o następującej treści:

Pamięci żołnierzy Armii Krajowej Obszaru Lwowskiego Oddziałów Leśnych „Warta”, którzy od jesieni 1944 do sierpnia 1945 przebywali na Rzeszowszczyźnie w gotowości do dalszej walki o kresy w 50. rocznicę rozwiązania zgrupowania — koledzy

W tym budynku w latach 1944—1945 mieściła się kwatera zastępcy dowódcy zgrupowania „Warta” pplk Bolesława Tomaszewskiego ps. „Ostaroga”

W lewym górnym rogu tablicy umieszczony został znak — symbol Polski Walczącej a w nim wpisany Herb m. Lwowa.

Projektantem tablicy jest art. plastyk p. Joanna Domaszewska z Wrocławia, która wzięła udział w uroczystościach odsłonięcia.

Tablicę umieszczono na budynku przy ul. Kościuszki 7.

Obchody 11 listopada w Łańcucie rozpoczęła Masz Św. w Kościele Farnym z udziałem Władz Miasta, żołnierzy AK, w tym również Zgrupowania „Warta”, młodzieży szkolnej i społeczeństwa, po której zgromadzeni udali się ze sztandarami w

pochodzie na ul. Kościuszki, gdzie odbyła się uroczystość pod tablicą. Po odegraniu hymnu państwowego przez orkiestrę Fabryki Śrub, krótkie przemówienie wygłosił prezes Koła ŚZZAK w Łańcucie inż. Stefan Gdula, zapraszając do odsłonięcia tablicy Burmistrza Miasta mgr inż. Jerzego Szczygła, prof. dr hab. inż. Jerzego Węgierskiego i Prezesa Okręgu ŚZZAK w Rzeszowie Aleksandra Szymańskiego. Po odsłonięciu, poświęcenia tablicy dokonał Ksiądz Dziekan Władysław Kenar, po czym przemawiali: kpt Tomasz Matyszewski „Ćwikła” b. d-ca 8 komp. w Baonie „C”, która kwaterowała w 1944 w rejonie Żołynie, a następnie prof. dr hab. Jerzy Węgierski „Antek” historyk AK. Mówcy w swoich wystąpieniach przypomnieli historię powstania zgrupowania „Warta”, które w sile 4 batalionów (1600 żołnierzy) zostało rozmieszczone w 1944 na terenach Rzeszowszczyzny, ich wojennych losach, współpracy z lokalnymi placówkami AK oraz pomocy i życzliwości jaką świadczyła oddziałom ludność w miejscach zakwaterowania.

Wśród zgromadzonych przy tablicy członków ŚZZAK, znaleźli się dawni dowódcy i żołnierze „Warty”, poza przemawiającym por. Józef Gąsowski, (Kraków) Mieczysław Rychlicki (Szczecin) Stanisław Cisek (Wrocław) i inni. W uroczystości

uczestniczył również Prezes Ogólnopolskiego Okręgu Żołnierzy AK Obszaru Lwowskiego im. Orłąt Lwowskich w Krakowie ppor. Jan Sura a wśród składających kwiaty pod tablicą była p. Iwona Szerdzka córka mjr Witolda Szerdzkiego „Sulimy” d-cy Baonu „C”.

Tablica powstała z inspiracji prof. dr hab. inż. Jerzego Węgierskiego a ideę tą zrealizowali Stanisław Zbieg z Lima-

nowej i Bolesław Opalek z Rzeszowa.

Wykonanie tablicy zostało sfinansowane ze środków Ogólnopolskiego Okręgu Żołnierzy Armii Krajowej Obszaru Lwowskiego im. Orłąt Lwowskich w Krakowie.

Bolesław Opalek

Jubileusz!

22 lipca br. w Leśniowie obchodził swe 103 urodziny zakonnik OO Paulinów o. **Piotr Stanoszek** — lwowianin. Z tej okazji klub TML i KPW w Myszkowie ze swą prezeską p. Florentyną Wilczyńską złożył Jubilatowi życzenia dalszych lat życia. Zarząd Główny TML i KPW oraz redakcja „Semper Fi-

delis” składają również naszemu Krajelowi życzenia wszelkich łask Bożych oraz dobrego zdrowia.

Klub w Myszkowie powstał niedawno i liczy 38 członków — witamy go serdecznie w naszym Towarzystwie!

Red.

Poezja Lwowska i Kresowa

W dniu 28 listopada br. został zorganizowany szósty już konkurs recytatorski „Poezja Lwowska i Kresowa” przez Oddz. TML i KPW w Brzegu przy wsparciu miejscowego Wydz. Kultury i pt. Sponsorów: Młodzież szkół podstawowych i policealnych z Brzegu, Namysłowa, Lubszy, Michałowic, Lipowej i Grodkowa goszczono w salach miejscowego Garnizonu Wojskowego. Jurorzy mieli naprawdę trudne zadanie wyłonienia

najlepszych wykonawców wierszy Hemara, Michotka i innych Autorów.

Jako „przedwojenny” lwowiak byłem zaskoczony zaprezentowanym poziomem wykonania, piękną naszą lwowską i wileńską gwarą (akcentem). Dzieciom (8 do 17 lat) — wielkie brawa, a przed ich Wychowawcami — czapki z głów!

Emil Teśluk

Apele

L.dz 433/95

Wrocław, 17.10.95 r.

Szanowni Sponsorzy — Redakcje

Fundacja Semper Fidelis

Redakcja Semper Fidelis

Oddziały TML — Kluby TML — Kresowiaci

Kochani Brzeżańczycy. Szanowne Panie i Panowie.

Liczę na Państwa życzliwość.

Moje wydawnictwo przy Państwa pomocy moralnej, ikonograficznej, faktograficznej (akwizycja, przedpłaty, itd.) dojrzało do wydania kilku książek o tematyce Kresowej.

Poszukujemy fotografii z Kazachstanu z lat 1940–1946 r.

Pan Profesor dr hab. Stanisław Ciesielski z Uniwersytetu Wrocławskiego napisał książkę pt. „Polacy w Kazachstanie w latach 1940–1946 r.”. Dlatego też pilnie poszukujemy fotografii z Kazachstanu z lat 1940–1946 z opisami: Kto jest na niej? Gdzie wykonano? Okoliczności wykonania zdjęcia. Rok! Informacje. Zdjęcia po wykonaniu reprodukcji odsyłamy.

Książka prof. dr hab. Stanisława Ciesielskiego „Polacy w Kazachstanie w latach 1940–1946” poświęcona jest losom Polaków deportowanych tam przez władze sowieckie w latach 1940–1946.

Jest to pierwsza naukowo udokumentowana książka tak szczegółowo i wszechstronnie przedstawiająca podjętą problematykę. Autor przedstawił okoliczności i przebieg wywózek, liczbę i status zesłańców oraz ich rozmieszczenie w Kazachstanie.

Przed wszystkim starał się odpowiedzieć na pytanie: Jak

żyli Polacy przesiedleni ze wschodnich obszarów II Rzeczypospolitej do tej stepowej krainy, przedstawił w zwięzłości z tym problemy ich wyżywienia, zakwaterowania, ubrania, szeroko omówił ich pracę. Odrębne rozdziały traktują o stosunku do nich miejscowej ludności i władz, o formach obrzędowości i życia religijnego, namiastkach życia kulturalnego, o kształtowaniu się nastrojów zbiorowości polskiej. Pokazane zostały formy i zakres pomocy ze strony rządu polskiego na obczyźnie i jego placówek w ZSRR, później ze strony Związku Patriotów Polskich. Zasadniczą rolę odgrywają jednak wspomnienia i relacje samych zesłańców. Książka posiadać będzie 400–450 stron i kilkadziesiąt unikatowych zdjęć.

Bardzo liczę na Państwa dokumenty.

Uwaga Brzeżańczycy.

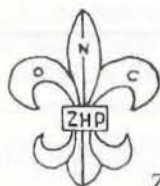
Ogromne dzieło pt. „Tryptyk Brzeżański” otrzymałem od inż. ofic. dypl. Zbigniewa Rusińskiego z Rybnika. Tryptyk zawiera cztery rozdziały: I — Brzeżany 1939–1945, II — 51 pp Armii Krajowej, III — Szare Szeregi Brzeżan, IV — Getto brzeżańskie. Jest to praca pamiątkarsko—naukowa, dość szczegółowo omawiana jest okupacja i problemy narodowościowe. Po konsultacjach otrzymała akceptację recenzentów.

„Tryptyk Brzeżański” zamierzam wydać w ciągu 12 miesięcy. Moja rodzina wywodzi się z Brzeżan, ja również urodziłem się w Brzeżanach (matka z domu Krystyna Wiktorczyk). Moja rodzina jest dumna z tego, że będziemy mogli wydać dzieło pana Rusińskiego, które w obecnej chwili jest jedyne, w którym podjęto tak szeroki problem. Na ten cel przeznaczam znaczną sumę. Ale jest to kropla w morzu potrzeb. Koszt wy-

dania książki (nakład 3000 egz., 30 arkuszy autorskich, 100 zdjęć, okładka kolorowa — obwoluta) oceniam na 500.000.000 starych złotych. Nie liczę wysyłki około 5000 listów (2500 kraj + 2500 zagranicą) oraz inne koszty, w tym promocja i wystawy retrospekcyjne unikalnych zdjęć.

Przedpłaty proszę kierować na konto: BRE SA O/Wrocław 409207—272039—2541—1 z dopiskiem „Deportacje” lub „Brzeżany”. Liczę na Państwa.

Z poważaniem
Jan Akielaszek



Jesteśmy Kręgiem Instruktorów Seniorów ZHP w Przemyślu. Głęboko zakorzeniony w nas duch harcerski zmusił do dalszej pracy z młodzieżą, której chcemy przekazać ideę harcerską oraz radość życia jaką niesie ta organizacja.

W dorobku pracy Kręgu mamy wiele przebytych obozów letnich, zimowisk oraz wspólnych z młodzieżą spotkań takich jak: święcone, oplatek, Dzień Myśli Braterskiej obchodzony zawsze 22 lutego itp. Współpracujemy również z Towarzystwem Miłośników Lwowa i Kresów Pol.-Wschodnich, którego członkami jest wielu naszych seniorów. Nawiązaliśmy kontakty z Polakami zamieszkałymi na Kresach i od kilku już lat organizujemy obozy i zimowiska dla polskich dzieci z Kresów Wschodnich. Uczestnikami były i są polskie dzieci z Mościsk, Lwowa, Tarnopola, Dobromila, Borysławia. Obecnie nawiązaliśmy kontakt z Towarzystwem Kultury Polskiej w Stryju skąd chcemy również zaprosić dzieci do nas.

Na każdym obozie przebywa około 30 zaproszonych dzieci z Kresów oraz dzieci z drużyny harcerskiej ze Szkoły Podstawowej nr 16 im. Orłów Lwowskich z Przemyśla. Opiekę nad dziećmi sprawują oczywiście instruktorzy seniorzy — członkowie Kręgu. Wspólny pobyt dzieci na obozie daje doskonałe efekty. Związują się przyjaźnie, a dzieci z Kresów doskonałą polski język poprzez naukę piosenek, recytacje, zabawy. Punkt po punkcie omawiamy prawo harcerskie, jak je stosować w codziennym życiu, a nie tylko na obozie. Dzieci stanowią zwartą drużynę harcerską, pięknie umundurowaną (Krag posiada własne mundury dla dzieci przyjezdnych). Noszenie munduru harcerskiego przybliży im polskość i zwyczaje harcerskie.

*„Mam szczerą wolę całym życiem
pełnić służbę Bogu i Polsce,
nieść chętną pomoc bliźnim...”*

Atmosfera na każdym obozie jest wspaniała, dzieci z taką radością chłoną to, czego ich uczymy, a wspólne ogniska, wycieczki, śpiewy, nocne alarmy na długo pozostaną w ich pamięci. Rozstania są pełne łez. Bardzo chcemy, aby po powrocie do domów nie było im obce polskie harcerstwo.

Po takich obozach zawiązują się drużyny harcerskie, choć nieliczne, to jednak rozpoczynają pracę harcerską. Przykładem niech będzie pracująca drużyna w Mościskach, którą staramy się opiekować przez cały rok. Bardzo dzielny druh Stanisław Ziober, drużynowy po kursie w Warszawie i naszym obozie w Babicach n. Sanem wyjechał szczęśliwy, bo między innymi otrzymał od nas kompletne umundurowanie dla 2 zastępów dziewcząt i chłopców. Tę radość zawdzięcza Karpackim Zakładom Gazownictwa w Krośnie, Zakład Gazowniczy w Jarosławiu, który przekazał nam pieniądze.

Mimo różnych trudności, mimo braku środków Finansowych staramy się aby w miarę sił i zdrowia umożliwić tym dzieciom poznanie rodzinnego kraju, jego historię, zwyczaje, zapewnić im wypoczynek i opiekę. Możemy to realizować dzięki wielu życzliwym ludziom, którym bogactwo i pieniądze nie przesłoniły serca i chętnie wspierają naszą inicjatywę. Dzięki tym ludziom dobrej woli możemy naszym rodakom z Kresów Wschodnich sprawić odrobinę radości.

Z harcerskim pozdrowieniem CZUWAJ

Krag Instruktorów Seniorów ZHP
w Przemyślu
Komendant Kręgu
Janina Kotuła, hm

Nowa mogiła śp. Jerzego Horvatha — lwowskiego harcerza, kadeta, żołnierza AK, ps. „Bartosz”

Bolesław Opalek

Nie potrafię dzisiaj podać dokładnie czasu i okoliczności poznania Jerzego Horvatha. Miało to miejsce na pewno w lwowskim harcerstwie, podczas zgrupowań obozowych lub innych, w latach trzydziestych. W moją pamięć wzrokową wpisał się przystojny ciemnowłosy harcerz o oryginalnym węgierskim nazwisku. Pamięć odżyła, kiedy zobaczyłem fotografię i informację o Jerzym, w książce prof. Jerzego Węgierskiego „W lwowskiej Armii Krajowej” wyd. 1989 r. Na stronie 208 autor podaje: „Ochotnicy do mojego 2 plutonu wciąż przybywali. Między innymi kpr. pchor. Mrozek „Kadet” przyprowadził do oddziału dwóch kolegów z Korpusu Kadetów—kpr. z cenz. Jerzego Horvatha „Bartosza” i kpr. z cenz. Henryka Nieckuła „Zbyszka”. „Był to lipiec 1944 r. przed „Burzą” a oddziały

leśne to 14 Pulk Ułanów AK, działający kilkanaście kilometrów na wschód od Lwowa. Na dalszych stronach książki (270) w obsadzie sekcyjnych i szeregowych 2 szwadronu, w 1 plutonie wymieniony jest w czasie akcji „Burza” kpr. z cenz. Jerzy Horvath, przy nazwisku wpis (zm. 1945). Informacja ta podana została po raz pierwszy, jednak bez określenia miejsca śmierci.

Książkę „W lwowskiej Armii Krajowej” przeczytał również lwowianin, harcerz, obecnie mieszkaniec Limanowej Stanisław Zbieg, kolega J. Horvatha z lat okupacji. Ich przyjaźń zawiązała się w latach 1940–41 we Lwowie a kontakty trwały także po wyjeździe ze Lwowa do Mielca, gdzie obaj mieszkali w latach 1942–43. W 1943 r. Jerzy Horvath opuścił nagle Mielec,

powracając do Lwowa i wtedy przyjaciele rozstali się na zawsze. Losy Jerzego po "Burzy" nie były znane nawet w rodzinie, mówiono o prawdopodobnym udziale w powstaniu warszawskim i zaginięciu. Poszukiwania w literaturze konspiracji nie dały Stanisławowi Zbiegowi wyjaśnienia losów przyjaciela, aż do momentu zapoznania się z książką "W lwowskiej AK" Prof. Jerzy Węgierski zapytany przez St. Zbiega listownie o losy J. Horvatha, potwierdził jego śmierć ale na Rzeszowszczyźnie, odsyłając w sprawie szczegółów do kolegi z oddziału Z. Mrozka "Kadeta" zamieszkałego w Nowym Sączu. Rozpoczął się rząd informatorów, bowiem "Kadet" podał H. Nieckulę "Zbyska" z Łodzi, który razem z Jerzym przeszedł po "Burzy" w Oddziale "Draży" za San, ale tu ich drogi rozeszły się. Dalsze informacje prof. J. Węgierskiego z 1991 r. uściślały, że "Draża" z oddziałem działał i kwaterował w pow. brzozowskim a miejscem śmierci "Bartosza" był prawdopodobnie Nozdrzec. Sprawdzenie tej informacji w parafii i księdze zgonów w Nozdrzu nie dało potwierdzenia. Następne domysły przyniosła książka Gabriela Brzęka pt. "Wierny przysiędze" o działalności AK na Rzeszowszczyźnie a w niej wzmianka o oddziale "Draży" i nowe nazwiska. Stanisław Zbieg uparcie badał każdy ślad. Wymienieni St. Pieńkowski i Michał Barć już nie żyli, a zapytany Czesław Naleziński skierował list do Andrzeja Zagórskiego, historyka rzeszowskiej AK. Wymieniony historyk skierował pytającego do A. Picucha z Brzozowa. Następne osoby, to już byli żołnierze z Oddziału "Draży" zamieszkali w Rzeszowie. Henryk Cmela ps. "Górski" — wiedział o śmierci "Bartosza" a podany przez niego Stanisław Dąbrowski ps. "Młody" brał udział w pogrzebie "Bartosza" w 1945 r. w Łubnie k. Dynowa. To potwierdził proboszcz Łubna ks. Birecki po wywiadzie wśród mieszkańców, którzy znali okoliczności śmierci i pochówku "Bartosza". W czerwcu 1993 r. bo tyle trwały żmudne wyjaśnienia losów J. Horvatha, Stanisław Zbieg odbył podróż do Łubna i tu młodzież szkolna wskazała mu ubogi grób nieznanego żołnierza — partyzanta na starym, "zamkniętym" cmentarzu. Ostateczną tajemnicę śmierci "Bartosza", bo tylko pod takim określeniem znany był w Łubnie, opowiedział mu tamto, mieszkaniec Ludwik Florkiewicz.

Rozlokowani w jesieni 1944 r. żołnierze AK z oddziału "Draży" kwaterowali u miejscowych gospodarzy. "Bartosza" z kolegą u Sikory, Jan Bergenwald u L. Florkiewicza. Stacjonujące we Dworze w Łubnie wojska NKWD uzyskiwały od donosiciela informację, że we wsi kwaterują uzbrojeni obcy ludzie. Oblawa i rewizje w domach rozpoczęły się 27 listopada 1944 r. "Bartosza" po alarmowym opuszczeniu swojej kwatery, znalazł się w ogrodzie Ludwika Florkiewicza i tam otrzymał od niego stena i amunicję, którego nie zdążył zabrać z mieszkania Janek Bergenwald. Oblawa dochodziła do zabudowań Ludwika Florkiewicza. Mimo mgły i mroku popołudnia doszło do wzajemnego rozpoznania oblavy i wycofujących się partyzantów, padły strzały z obu stron. Błyski wystrzałów zdradziły pozycję "Bartosza". Martwego zabrano furmanką do dworu, a następnie nieopodal siedziby NKWD, pod lasem zakopano. Miejscowi członkowie AK, śledząc Rosjan ustalili miejsce pochówku. Po opuszczeniu Łubna przez Rosjan, w maju 1945 r. przy zachowaniu ostrożności, dokonano ekshumacji i uroczystego pogrzebu "Bartosza", na cmentarzu. Teraz od Stanisława Zbiega po blisko 50 latach, mieszkańcy Łubna poznali nazwisko partyzanta, który zginął w listopadzie 1944 r., a którego w 1945 r. pochowali jako nieznanego żołnierza. Od tego momentu



mogila "Bartosza" miała tabliczkę z klepsydrą.

Równocześnie z poszukiwaniem mogiły przyjaciela, Stanisław Zbieg uzyskał adres siostry Jerzego Horvatha, zamieszkałej w Krakowie. P. Maria Horvath-Koralewicz szukała również brata od wielu lat, także w pow. brzozowskim, jednak bez skutku.

To co napisałem do tego miejsca, Stanisław Zbieg przedstawił w Nr 1/38 "Biuletynu Informacyjnego" Ogólnopolskiego Okręgu Żołnierzy AK Obszaru Lwowskiego im. Orłat Lwowskich ze stycznia 1994 r. w publikacji pt. "Odnalazłem mogiłę śp. Jurka Horvatha ps. "Bartosza" — b. kadeta Korpusu Kadetów Nr 1 im. Marszałka Józefa Piłsudskiego we Lwowie, żołnierza II szw. 14 Pułku Ułanów AK".

Ten tekst przeczytałem z dużym wzruszeniem, opis tragicznej partyzanckiej śmierci znanego mi harcerza poznałem dzięki szlachetnym działaniom przyjaciela i wytrwałym jego poszukiwaniom.

Myśl o opuszczonej mogile przyjaciela na starym, nie odwiedzanym, "zamkniętym" cmentarzu w Łubnie nie dawała spokoju Stanisławowi Zbiegowi. Podobną rozterkę przeżywała siostra Maria, w głębokim smutku przeżywając odsłoniętą tajemnicę śmierci brata. W listopadzie 1944 r. zwrócił się pismem do Okręgu SZŻAK w Rzeszowie z propozycją, konsultowaną z P. Marią Horvath Karolewicz i prof. J. Węgierskim, ekshumacji prochów śp. Jerzego Horvatha z dotychczasowego miejsca pochówku, na parafialny cmentarz rzym.-kat. w Łubnie, ze wzniesieniem zmarłemu godnego nagrobka i uroczystego poświęcenia. Uroczystość mogłaby mieć powiązania z 50 — tą rocznicą rozwiązania Zgrupowania "Warta".

Prezes Okręgu przekazał propozycję Komisji Historycznej. Odwiedziliśmy Łubno i mogiłę, ustaliliśmy na miejscu możliwości przeniesienia prochów. Na wniosek p. Horvath-Karolewicz, za zgodą władz sanitarnych przenieśliśmy szczątki na wybrane miejsce cmentarza parafialnego czynnego, zlecając miejscowemu wykonawcy budowę nagrobka wg. ustaleń projektowych. Przy współudziale członków Komisji Historycznej powstał nagrobek. Tablicę i krzyż z brązu Stanisław Zbieg zlecił do wykonania w ZNTK. w Nowym Sączu. Dzieło zostało doprowadzone do końca i w dniu 17 września br. w pamiętną rocznicę napaści na Polskę, odbyło się uroczyste poświęcenie nowej mogiły śp. Jerzego Horvatha.

Przybyli zaproszeni goście: z Przemyśla p. Anna Jakubec-

ka-Górska jedyna krewna (siostra Maria zmarła w kwietniu 1995 r.), dowódca II szwadronu 14 Pułku Ułanów AK i dowódca śp. Jerzego, prof. Jerzy Węgierski, Prezes Ogólnopolskiego Okręgu Żołnierzy Armii Krajowej Obszaru Lwowskiego im. Orłąt Lwowskich w Krakowie—Jan Sura, nieustraszonego w działaniach przy ustalaniu losów kolegi Stanisław Zbieg, kadet, żołnierz 14 Pułku Ułanów AK kpt. Z. Mrozek, pocztę sztandarową Okręgu AK Rzeszów oraz Kół z Łańcuta, Brzozowa, Białej oraz liczni członkowie z Kapelanem Okręgu Ks. Szeleń na czele, lokalne władze, społeczeństwo i młodzież Łubna. Po mszy św. koncelebrowanej, którą odprawił Ks. Proboszcz Parafii Łubno z udziałem Ks. Kapłana wszyscy udali się na cmentarz, gdzie odprawione zostały obrzędowe modlitwy i nastąpiły wystąpienia pożegnalne prof. J. Węgierskiego, Z. Mrozka, K. Wolczyńskiego i A. Rząsy. Prezes Jan Sura odczytał akt nadania przez Kapitułę śp. Jerzemu Horvathowi



Krzyża II Obrony Lwowa 1939–1945, który odebrała p. Anna Jakubecka-Górska. Młodzież szkoły recytowała wiersz pt. "Partyzant". W uroczystości kościelnej i na cmentarzu brała udział także orkiestra Straży pożarnej z Dynowa.

Dzięki wytrwałości w poszukiwaniu śladów losów śp. Jerzego Horvatha przez Stanisława Zbiega, z mroków zapomnienia i oddalenia powróciła Jego pamięć co pozwoliło na uczczenie tragicznie zmarłego, godne uświetnienie miejsca wiecznego spoczynku i upamiętnienie w historii lwowskiej AK. Ze strony Okręgu i Komisji Historycznej SZŻAK w Rzeszowie czas i trud poświęcili tej sprawie: Prezes Okręgu Aleksander Szymański, Skarbnik Okręgu Henryk Cmela oraz członkowie Komisji Historycznej: Adam Rząsa, Stanisław Dąbrowski, Ludmił Szubartowicz i piszący tą publikację.

Do przygotowania uroczystości włączyły się władze Łubna, Kier. Szkoły z młodzieżą, Ochotn. Straż Pożarna Łubna i Dynowa oraz miejscowi obywatele: Eugeniusz Florkiewicz, Ludwik Florkiewicz, Michał Kustra, Władysław Sieńko i inni.

Koszty nagrobka zostały sfinansowane przez okręg AK w Rzeszowie oraz ze środków prywatnych rodziny, z przyszłą częściową refundacją Zarządu Głównego Związku Kadetów II Rzeczypospolitej w Warszawie.

PS. Dane biograficzne śp. Jerzego Horvatha — urodzony 10 stycznia 1924 zginął 27 listopada 1944 r. w Łubnie k. Dynowa. Syn Edwarda i Emilii z d. Popowicz. Rodzeństwo: siostry Hanna, Jadwiga, Maria (nie żyją). Ojciec przed wojną: Dyrektor Gimnazjum w Przemyślanach a następnie Wyzyskator Szkół Średnich Kuratorium Lwowskiego — posiadał tytuł doktora. Jerzy uczęszczał do Szkoły Powszechnej w Przemyślanach, od 1936 do Korpusu Kadetów Nr I im. Marszałka Józefa Piłsudskiego we Lwowie, od jesieni 1939 w czasie okupacji sowieckiej do VIII Gimnazjum.

Pomóżmy!

Zarząd Towarzystwa Przyjaciół Grodna i Wilna w Białymstoku — zwraca się z serdeczną prośbą o wsparcie finansowe budowy kościoła w Jeziorach k. Grodna. Brak środków finansowych uniemożliwia zakończenie budowy tej wspaniałej świątyni, która powstała na zgłiszczach kościoła spalonego w roku 1943.

Liczy się każdy grosz.



KOŚCIÓŁ ŚW. CHRYSYSTUSA
KROLA
W JEZIORACH K. GRODNA

Jak dla Lwowa, to jedź, kochaniutka!

Danuta Tabińska-Juhasz

— Jak dla Lwowa, to jedź, kochaniutka! — powiedział młody policjant — stróż porządku drogowego pod cmentarzem Wrocławia w dniu 1 listopada 95 roku. Mogłam więc dojechać samochodem pod bramę cmentarza osobowickiego, gdzie miałam odebrać puszki ze zbiórki pieniężnej, jaką po raz pierwszy w tym roku zorganizowała Fundacja Kresowa "Semper Fidelis" na odbudowę cmentarza Orłąt Lwowskich.

W dniu Święta Zmarłych w całym kraju od kilku lat są organizowane kwesty pieniężne na odbudowę znanych metropolii w kraju i za granicą. Zapoczątkował to p. Jerzy Waldorff i chwala mu za to! Wilnianie zbierają więc na odbudowę cmentarza na Rossie w Wilnie, a lwowiaczy na cmentarz Orłąt we

Lwowie. Na czterech wrocławskich cmentarzach zbiórke prowadzili członkowie Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich z Zarządu Głównego i licznych wrocławskich klubów takich jak: Orłąt Lwowskich, Nauczycielski, Tłumacza oraz Oddziałów: Wrocławskiego, Buczańskiego, Kolomyjan. W kweście pomagali członkowie Wrocławskiego Klubu Inteligencji Katolickiej, uczennice Liceum SS Urszulanek oraz harcerze z K.H. ZHP Fabryczna. W strugach deszczu stali ofiarnie odbywając swój 2-godzinny dyżur przedpołudniowy przy głównym wejściu na cmentarz Grabiszyński, a popołudniowy — na Osobowickim.

Chciałam podzielić się wrażeniami z reakcji ludzi na na-

szą zbiórkę. Zbudowana jestem postawą starszego pokolenia, gdzie staruszkowie wysypywali drobne grosiki ze swoich szczupłych emeryckich portfeli. Zgorszona natomiast byłam generalną niewiedzą młodzieży o istnieniu cmentarza Obrońców Lwowa — Orłąt Lwowskich. Przemilczana część historii Polski w ostatnim pięćdziesięcioleciu — owocuje!

Cieszyło mnie zjawisko ciekawości dzieci, które zaraz po wrzuceniu pieniędzy do puszek dopytywały się swoich opiekunów — kto to są Orłęta Lwowskie?

Okazało się więc, że organizowanie takich zbiórek jest pożyteczne nie tylko ze względów ekonomicznych. Przypominają bowiem szerokim rzeszom społeczeństwa, że pamiętamy stale o utraconych wschodnich ziemiach II Rzeczypospolitej wraz z pozostawionym tam dorobkiem naszej kultury, a do nich zaliczają się też zabytkowe cmentarze.

Zatrzymywali się ludzie chcący porozmawiać o tym, że urodzili się tam, że pochowani są tam ich rodzice, że może nigdy już tam nie pojadą lub że niedawno byli itp. Po prostu chcieli rozmawiać o ojczystych stronach. Wzruszyła mnie młoda pani, która biegła rozmienić pieniądze, gdyż wszystkie drobne jakie miała wrzuciła już na Rosę. Była poruszona — gdzie są Lwowiacy i czemu też nie zbierają na "jej" Orłęta? Powiedziała do

mnie: "Chwała Bogu, że też jesteście i zbieracie!". Byliśmy! Zbieraliśmy w całej Polsce, dzięki specjalnemu zezwoleniu Ministerstwa Spraw Wewnętrznych (Departament Spraw Obywatelskich) oraz zezwoleniem Ministerstwa Spraw Zagranicznych i Ministerstwa Finansów. Dziękujemy wszystkim instytucjom rządowym za szybkie i bardzo uprzejme załatwienie "obiegu dokumentów" w tej sprawie, wszystkim kwestującym za ich ofiarną pracę oraz wszystkim ludziom, którzy hojnie wrzucali pieniądze do naszych puszek, dając tym dowód, że nie zapomnieliśmy o Lwowskich Orłętach i sprawa odbudowy tego cmentarza, stanowiąca integralną część wspaniałego zabytkowego Cmentarza Łyczakowskiego leży nam bardzo na sercu!

Z wielką radością i nadzieją przyjęte zostały w dniu 2.XI br. słowa Marszałka Sejmu p. Józefa Zycha o odbudowie Cmentarza Orłąt, przyznaniu na ten cel z budżetu państwa 5 miliardów zł., a szczególnie cieszyło wymienienie przez Pana Marszałka starań w tym względzie Towarzystwa Miłośników Lwowa z Kresów Południowo-Wschodnich. Zarząd Główny TML i KPW we Wrocławiu wystosował list z podziękowaniami do Pana Marszałka.

Kto wie?

Polskie Towarzystwo Opieki nad Grobami Wojskowymi we Lwowie przystępuje do odnowy cmentarza legionistów w Brodach. Kwatera wojskowa z około 260 grobami nieźle czytelnymi, z częściowo uszkodzonymi krzyżami bez metalowych tabliczek identyfikujących, gęsto pokryta krzakami i chwastami — znajduje się przy cmentarzu miejskim. Towarzystwo zwraca się z następującą prośbą:

Możliwe, że mieszkańcy Brodów, którzy obecnie mieszkają w Polsce, są w posiadaniu informacji i fotografii dotyczących kwatery legionistów i cmentarza miejskiego w Brodach oraz w Starych Brodach. Materiały oraz kopie prosimy prze-

kazywać pod adres P.T.O. nad G.W. 290000 Lwów — Centrum, ul. Słowackiego 1 Poczta Główna Skr. poczt. 175.

Istnieje możliwość umieszczenia w kwaterze wojskowej dodatkowych krzyży dla tych ofiar drugiej wojny światowej, które nigdzie nie mają grobu ani krzyża. Do tego niezbędna będzie lista wszystkich znanych nam brodzian (imię, nazwisko, wiek, stanowisko, znane lub domniemane miejsce śmierci).

Wykaz tych osób proszę przysyłać pod adres:
Stanisław Valis-Schyleny, al. ks. bp. Bursche 21
43-460 Wisła

† Z żałobnej karty

23 listopada br. został powołany do Pana

**śp. ks. Biskup Sufragan Archidiecezji Lwowskiej
Władysław Rafał Kiernicki**

**ur. 3 maja 1912 r. w Kołuczkowcach w pobliżu Gwoźdźca,
na Pokuciu.**

O Jego działalności w następnym numerze SF.

11 listopada br. odszedł od nas

Śp. Waldemar Voisé

Lwówianin, absolwent Uniwersytetu Lwowskiego, prof. zw. Uniwersytetów w Toruniu, w Warszawie i we Wrocławiu — prawnik, filozof, historyk, muzykolog, członek Międzynarodowej Akademii Historii Nauki i wielu towarzystw naukowych, wicedyrektor Instytutu Historii Nauki PAN. W czasie wojny członek AK, pracownik w Instytucie Tyfusowym prof. Rudolfa Weigla we Lwowie, anonimowy dobroczyńca naszego pisma.

Cześć Jego pamięci!

ZO

Spółceństwo Kresowian poniosło dotkliwą stratę.
19.XI br. odszedł od nas

Śp. mgr Zdzisław Kliś

ur. 2.I 1924 w Kołomyi. Człowiek otwartego serca, chojnie wspomagający budowę kościołów i zaopatrujący w leki mieszkańców pol.-wschodnich terenów II RP. Spoczął na cmentarzu we Wrocławiu.

Cześć Jego świetlanej Pamięci!



Hania

Odeszła od nas Hania — złotowłosa, niebieskooka lwówianka, koleżanka nasza z tajnego nauczania we Lwowie. Odeszła po długotrwałej chorobie, z którą walczyła dzielnie przez kilka lat. Zmarła 26.IX 1995.

Hania Maged-Pycówna urodziła się we Lwowie w 1927 roku. Dobre i spokojne dzieciństwo, jak każdemu z nas legło w gruzach wraz z wybuchem II wojny światowej. Lata okupacji bolszewickiej i niemieckiej upływały w trudnych warunkach, niebezpiecznych i okrutnych. Tajne nauczanie, w których uczestniczyła wraz z naszą paczką dawało nam nie tylko możliwość zdobywania wiedzy, co było naszym świętym obowiązkiem, ale utrzymywało w nas poczucie patriotyzmu i pewność przetrwania.

Hania wraz z rodziną opuściła Lwów, jak my wszyscy i zamieszkała w Krakowie. Tam po zdaniu matury i po ukończeniu studiów na Uniwersytecie Jagiellońskim oraz po wyjściu za mąż za kresowiankę zresztą, rozpoczęła pra-



cę w Instytucie Historii, następnie w Studium WF Akademii Medycznej, gdzie czynnie uprawiała sport. W 1958 r. rozpoczęła pracę w Bibliotece Jagiellońskiej na stanowisku kierownika Oddziału Gromadzenia i Uzupełniania Zbiorów. Była bardzo cenionym pracownikiem. Za swoje zasługi została odzna-

czona licznymi odznaczeniami zawodowymi i państwowymi.

Żegnamy Ją dziś w głębokim smutku, żegnamy garstką naszej ukochanej ziemi lwowskiej, żegnamy Ją, myśląc, że może na tamtym świecie Najwyższy przygotował dla Niej i Tych Lwówiaków, którzy wcześniej odeszli w niebiańskim Lwowie swoje pomieszkowanie.

W imieniu koleżanek i kolegów
Jadźka Kaluscha

Śp. mgr inż. Władysław Bohr

Urodził się w Górnej Radgonii w Jugosławii 28 marca 1915 r. Przed wojną zamieszkiwał z rodzicami w Kołomyi, gdzie ukończył szkołę powszechną im. Kopernika oraz gimnazjum Króla Kazimierza Jagiellończyka w r. 1933, po czym rozpoczął studia na Politechnice Lwowskiej. Po odbyciu czynnej służby wojskowej w 1936–37 r. w Szkole Podchorążych w Stanisławowie uczestniczył w obronie Lwowa (w bitwie pod Lwowem) w 49 Huculskim Pułku Strzelców. Okres okupacji przeżył we Lwowie, pracując w charakterze robotnika. W roku 1942 wstąpił do ZWZ, gdzie pełnił funkcję dowódcy plutonu. W 1944 r. brał udział

w Akcji „Burza” w stopniu podporucznika w 14 Pułku Ułanów AK pod pseudonimem „Sas”. W końcu lipca 1944 r. został aresztowany przez NKWD i wywieziony w głąb Rosji. Do kraju wrócił w 1949 r. Po ukończeniu Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie osiedlił się w Gliwicach. Tam też pracował w Instytucie Materiałów Ogniotrwałych. W roku 1976 przeszedł na zasłużoną emeryturę.

Zmarł 2 października w Gliwicach. Odznaczony został pośmiertnie Krzyżem II Obrony Lwowa.

Cześć Jego pamięci!

Nasi Czytelnicy piszą

Emil Hlib

W odpowiedzi na notatkę p. Adolfa Zabuskiego, w dziale „Nasi czytelnicy piszą”, zamieszczoną w czasopiśmie Semper Fidelis nr 27, 1995, dotyczącą hr. Kazimierza Badeniego, wyjaśniam, że było dwóch Badenich o tym samym imieniu, opisanych w książce pt. Pamiętniki urzędników galicyjskich, Wydawnictwo Literackie Kraków 1978.

1) Kazimierz Badeni (1792–1854), członek Stanów Galicyjskich, założyciel Instytutu Ociemniałych we Lwowie, sę-

dzia Trybunału w Krakowie, właściciel Gródka Jagiellońskiego i Surochowa... (był mężem Seweryna z Pietruskich, fundatorki statuy NMP z pl. Mariackiego), strony 206 i 341 w przypisach tej książki.

2) Kazimierz Badeni (1846–1909) – konserwatywny polityk galicyjski, od r. 1886 namiestnik Galicji, w latach 1895–1897 premier austriacki (którym jest zainteresowany p. Adolf Zabuski) str. 366 tej książki, przypisy.

Protestujemy!

20 listopada br. pod zmyślnym zarzutem „szpiegostwa” zostali wydalenі przez władze ukraińskie dwaj księża: Piotr Buk z Kołomyi i Józef Treła z Obertyna. Zamiast krok po kroku zbliżać się do Europy — Ukraina w szybkim tempie oddala się od nas — widocznie chce pozostać w Azji. Przykro i szkoda.

Tekst podpisany przez wielu Czytelników

Autor wiersza urodził się we Wrocławiu. Tu ukończył Akademię Rolniczą, uzyskując w 1987 r. tytuł magistra inżyniera geodezji. Obecnie mieszka i pracuje w Brzegu. W 1991 r. zadebiutował tomikiem wierszy „Opisanie świata”. Jest prawnukiem Jana Szymeczki, powstańca styczniowego z Kołomyi. Jest zdolnym kołomyjaninem, z czego się bardzo cieszymy i życzymy Mu dalszych sukcesów.

Red.

Modlitwa za Kresy

Janusz Wójcik

Panie, daj powrócić na Kresy,
do miast magicznych, do Wilna, Lwowa
spraw jednak, abym nie zranił nikogo —
nie pragnę bowiem władzy ani ziemi,
chcę tylko spojrzeć w gwiazdy nad Prutem,
zaczepnąć źródło ze studni Syrokomli,
w cieniu dębu odpocząć w Zułowie.

A w Kołomyi, w Śniatynie,
tam, gdzie z ziemią zrównane gniazda człowiecze,
spraw, abym jak aniołowie z Nazaretu do Loreto,
przeniósł na Śląsk z popiołu wskrzeszony
święty dom moich dziadków, gdzie jak niegdyś
drzwi na oścież będą otwarte
dla wszystkich ludzi dobrej woli,
dla rodziny ubogich chasydów,
szukającej schronienia przed pogromem,
dla Rosjanki, co podczas głodu
uciekała z kołchozu na polską stronę,
dla węgierskiego oficera,
który pozwolił rozdawać chleb
nędzarnom oczekującym za murami wojskowej piekarni.

Oni wszyscy już dawno umarli i nie ma nikogo,
kto zdoła przekazać świadectwa,
dlatego zapisuję opowiadania mojej Babci —
pierwszego nauczyciela tego, co zwykli teraz zwać
naszym wspólnym domem, tolerancją albo Europą,
kiedy starzy prostymi słowami tłumaczą odwieczne prawdy,
książęta ze szklanej kuli w uczony sposób usprawiedliwiają
rzezie małych narodów, skazanych na pastwę tyrana.

Babcia płacze,
mówiąc, że do Śniatyna
nie ma po co już wracać:
nasz dom jest cudzym domem,
a na starym cmentarzu
wrosły betonowe bloki.
Zasłuchany w słowa skargi
nie dostrzegam, jak noc skrada się do okien,
znowu będę karmił cienie okruchami pamięci,
aż po świt, kiedy przyjdzie ujrzeć
słońce wschodzące nad Kresami.
Do Kołomyi jest tak daleko,
ale ja wciąż na połoninach Vinzenza
oddycham wiatrem niosącym zapach żywicy,

zasłuchany w przyspiewki Huculów
schodzących z gór na bazar w Kosowie.
Po chwili, znużony bezsennym czuwaniem,
kładę głowę pośród rozsypanych kartek
w moich snach żywi i umarli
budują wieżę z kości słoniowej
dla przyszłych pokoleń.

Wśród książek i czasopism

Ks. dr Józef Wołczański

Ks. Teofil Skalski, *Terror i cierpienie. Kościół katolicki na Ukrainie 1900–1932. Wspomnienia. Opracowanie, wstęp, przypisy, wybór aneksów i fotografii* – ks. Józef Wołczański. Wyd. Norbertinum, Fundacja Jana Pawła II, Wydawnictwo bł. Jakuba Strzeżmień Archidiecezji Lwowskiej obrz. lac., Lublin – Rzym – Lwów 1995, ss. 504 + 107 fotografii.

Książka stanowi bardzo wartościowy, o unikatowych walorach historycznych, językowo-literackich i dokumentalnych, zapis dziejów Kościoła katolickiego i społeczeństwa na Podolu i Wołyniu w dobie narodzin rewolucji 1917 r. oraz jej dalekosiężnych skutków. Jej autor był proboszczem kościoła św. Aleksandra w Kijowie oraz administratorem apostolskim diecezji żytomierskiej, pozostającej po 1921 r. (traktat ryski) w granicach państwa sowieckiego. Aresztowany pod zarzutem szpiegowstwa i kontrrewolucyjnych działań w 1926 r., został osadzony w więzieniu w Kijowie, skąd przewieziono go do Moskwy, gdzie w 1928 r. zorganizowano proces pokazowy,

obliczony na zdyskredytowanie polskiego duchowieństwa katolickiego i polskich placówek dyplomatycznych na Ukrainie sowieckiej. Prokurator domagał się dlań kary śmierci, którą zamieniono na 10 lat surowej izolacji. Osadzony w więzieniu na Butyrkach, a później w Jarosławlu nad Wołgą, uzyskał wolność w 1932 r. na mocy wymiany polsko-sowieckiej więźniów politycznych. Po powrocie do kraju pracował do 1939 r. w Lucku, a po wojnie – w Mszanie Dolnej k. Rabki.

Prezentowane dzieło jest niezwykle wnikliwym obrazem narodzin "nowego porządku" rewolucyjnego, a zarazem zagłady struktur religijno-społecznych na Kresach Wschodnich Rzeczypospolitej. Na kartach książki przewijają się setki postaci duchowieństwa katolickiego diecezji lucko-żytomierskiej, ale też innych jednostek administracji kościelnej w obrębie Rosji sowieckiej. Dramatyczna walka kapłanów i laikatu o wytrwanie przy wierze, o zachowanie od profanacji kościołów, o prawo do własnego języka i kultury w obliczu miazdzącej nawały bolszewickiej ukazana została przez autora w mistrzowskim ujęciu. Szerzące się represje, ferowane wyroki łagrów i wię-

zeń, bez nadziei na uwolnienie stamtąd kiedykolwiek, zagłada bezcennych obiektów sakralnych oraz psychologiczna analiza "nowych władców" życia i śmierci milionów ludzi — to niezaprzeczalne walory omawianego dzieła.

Na uwagę zasługuje wreszcie ukazanie niechlubnej roli Żydów w zaprowadzaniu i utrwalaniu "nowego porządku" społecznego na ogarniętych pożogą rewolucyjną Kresach Wschodnich. Stali oni zawsze u szczytu władzy sowieckiej, nie przebijając w środkach w dziele zagłady wartości i dóbr religijnych, narodowych i kulturowych o innej niż bolszewicka proveniencji. Ten wątek również zasługuje na uwypuklenie, aby prawdzie historycznej stało się zadość.

Dołączone do książki aneksy oraz wybór 107 fotografii, przeważnie nigdy dotychczas nie publikowanych, jeszcze bardziej podnoszą wyjątkowy charakter pracy ks. Skalskiego. Szczegółowe zaś indeksy: osobowy i geograficzny ułatwiają poruszanie się po kartach książki.

Cena 1 egz. — 15 zł (150 tys. st. zł).

Kolportaż prowadzi:

Archiwum Archidiecezji Lwowskiej
ul. Mickiewicza 85
37-600 Lubaczów
tel. (0193) 211 13

Pastorałka z Pasiek

F B $\flat$ C F SŁOWA I MUZYKA: J. MASIOR

Ba-tia-ry-gi z Łyczakowa, pas-tu-sko-wie mi-li Czy-szy-szy-cie
zo roga-ka ma-te Dzie-cię kwi-li Pła-cze z zimna drży na sianku
na Pa-sie-kach wstaj-ni Przy-szła na świat Bo-że Dzie-cię między was zwy-
czaj-nie Lu-laj, lu-laj Ma-lu-sień-ki, u Jo-ze-fa i Pa-nien-ki.
A-my też tam po-be-gnie-my, sta-jen-kę Ci ogrze-je-my.

1. Batiarygi z Łyczakowa,
Pastuszkowie mili,
Czy słyszyacie — za roga-ka
Małe dziecię kwili

Placze z zimna, drży na sianku
Na Pasiekach w stajni;
Przyszło na świat Boże Dziecię
Między Was — zwyczajnie.

2. Zajaśniała srebrna gwiazda,
Aniołowie fruną,
Cały Lwów się wam rozjaśnił
Sponad Pasiek luną.

I choć zima wokół mroźna,
Z placu Antoniego
Pobiegijcie, batiarygi
Ogrzać Małeńkiego.

3. Świętej Matce w darze nieście
Maku, sera, miodu,
No i prele dla Małego.
By nie zaznał głodu.

Kolędujcie, wyśpiewujcie
na Łyczaków cały,
By się króle i bydłatka
U stajni zbiegały.

4. To kolęda nasza, lwowska,
A więc niechaj w niebo
Płynie nuta: Gloria, Gloria!
Dla Narodzonego.

To kolęda nasza, lwowska,
A więc pospieszajcie,
Na Pasiekach, na świat cały
Pana ogłaszajcie.

Refren: Lulaj, lulaj, Malusienki
U Józefa i Panienki,
A my też tam pobiegniemy,
Stajenkę Ci ogrzejemy.

Kolęda lyczakowska



Pamiętasz śnieg najbielszy, ten śnieg lyczakowski
i zmierzch, co gwiazdę świecił na rogu Wójtowskiej?

Z tą gwiazdą od Krupiarzkiej, Piotra, z Paulinów
naniósł kołęd w basach i pisków w wiolinach.

Tam trąbek jazłowieckich srebrzyste wygrywanie
i zewsząd naszych, lwowskich kołęd śpiewanie

Batarskie „Bóg si rodzi” z placu Antuniego,
gdzie bije serce Lwowa u – kochanego.

Kolęda stąd jedynką ruszała pod górę,
do Matki Ostrobramskiej obłokiem lub chimurą

Dziecinę tam batiary serdecznie obsiadą,
by lulać Ją najśłodsza ze wszystkich kołędą.

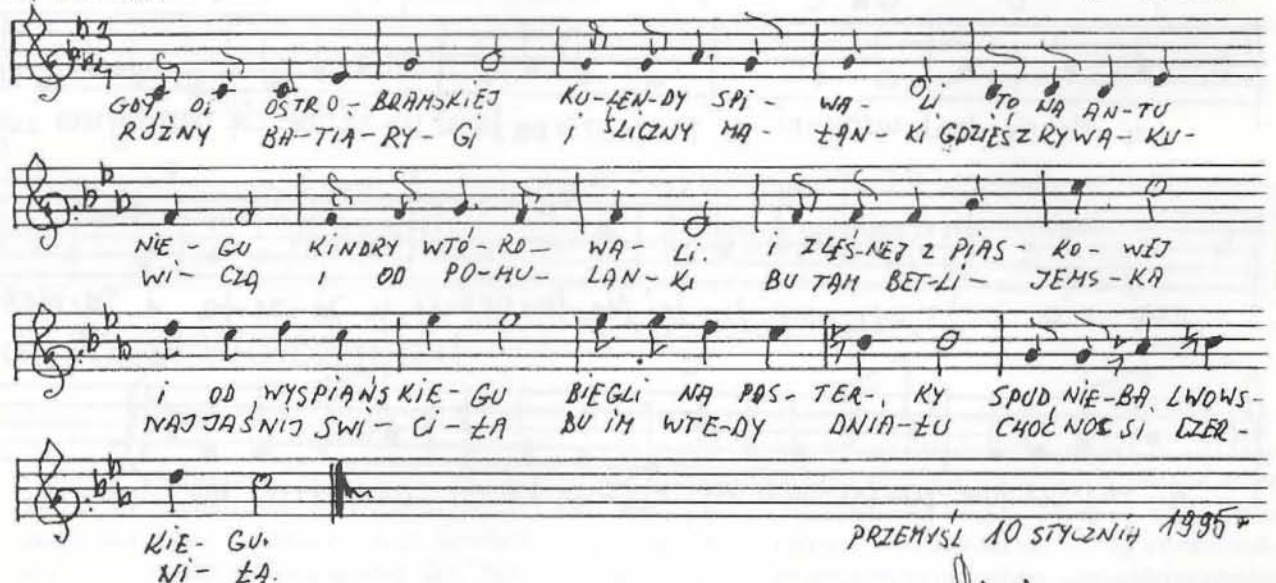
Śpiewam lyczakowskim serca, z ulicy,
prześliczną pastoralkę w batarskiej dzielnicy.

Z niej w szronie utulenie pamięci stokrotne,
to przez nią serce skamle, powieki wilgotne...

St. JERZY MASIOR
MEL. A. WOJTYŁA

Batarska kulenda

ZACHOWI OTRZYŃSKIEMU
ZA STRAŻ NAD LWOWEM.



PRZEMIŚL 10 STYCZNIA 1995

Redakcja bardzo przeprasza za błędy:

- p. Mieczysława Kostura (przy zdjęciu w SF 28 str. 33)
- p. Wacława Łabińca za niewłaściwe podanie na liście Ofiarodawców nazwiska śp. Jadwigi Łabiniec (SF 27)
- p. Cotadze z Francji za błędne podanie nazwiska na liście Ofiarodawców (SF 26)
- p. Ewę Grzybowską, podaną na liście Ofiarodawców jako Ewę Gryłowską (SF 27)

CONTENTS

p. 1 — Roman Asler	A fifteen years old boy's tale of his participation in the Defence of Lwów in 1918
p. 1 — Jerzy Masior	You, revived — a poem.
p. 2 — Danuta Nespiak	Just a dialogue — a topical paragraph.
p. 3 — Jerzy Masior	On the river of my childhood.
p. 5 — Wanda Pietruska	An airman's widow tells about her husband's fight in the Defence of Lwów in 1918.
p. 7 — J. Bułat	„The Curzon Line”
p. 8 — Władysław Śledziński	Pre-war journalist reports on his underground activity in Lwów during Soviet occupation
p. 14 — Zbigniew Mucha	Secret bridges across the border — a relation on transfer of refugees from Poland to Hungary with the assistance of catholic priests.
p. 15 — Bolesław Broś	Kazimierz Brończyk — a teacher at the 8th Grammar-School in Lwów, the forgotten eminent playwright and poet.
p. 18 — Ludwika Castori-Dąbrowska	My lovers — recollections of the theatre life in Lwów before and during the war (continued).
p. 21 — Zdzisław J. Zieliński	Two photographs — a tale of Jew pupils at a Lwów school.
p. 25 — Franciszek Zadeberny	Christmas Eve 1943 at Kruhów — attack of the Ukrainian Bandera band on the village and cruel murder of eighteen Poles.
p. 28 — Konrad Sura	More about slaughter of Poles imprisoned by the Soviets in Lwów.
p. 31	Appeals.
p. 32 — Bolesław Opalek	The history of successful seeking out the grave of a Lwów scout Jerzy Horvath who was shot by the Soviets when fighting in a partisan squad.
p. 34 — Danuta Tabińska-Juhasz	Collection for restoration of the Eaglets' Cemetery in Lwów.
p. 35	Obituary Column.
p. 37	Letters from our Readers.
p. 37 — Janusz Wójcik	Prayer for the Borderland — a poem.
p. 38	Review of books and periodicals.
p. 39	Christmas carols.

Lista Ofiarodawców

w miesiącach IX-X 95 r.

1. Naganowska Zofia, Kielce	1.09.95	5.-	20. Bieńko Józef, Stalowa Wola	3.10.95	30.-	
2. Leski Jan, Kielce	1.09.95	10.-	21. Blum Janina Wrocław	24.10.95	10.-	
3. Socha Józef, Kielce	1.09.95	10.-	22. Bajda Zdzisław Marian Londyn	2.10.95	30.-	
4. Mossoczy Stanisław, Bielsko Biala	13.10.95	20.-	23. Stowarzyszenie Bochniaków			
	4.09.95	20.-	Miłośników Ziemi Bocheńskiej	13.10.95	20.-	
5. Feczko Tadeusz, Przemyśl	5.09.95	10.-	24. Zubik Edward	18.10.95	10.-	
6. Lechowski Zbigniew, Wschowa	3.10.95	2.-	25. Tyzenhauz-Pietruszka Nadina, Kraków	7.09.95	10.-	
	5.09.95	2.-	26. Hryń Edward, Szczecin	7.09.95	5.-	
7. Miliński Jacek, Łódź	7.09.95	10.-	27. Starzeczy Józef i Janina, Wrocław	10.10.95	10.-	
8. Nowicki Władysław, Koźuchów	11.10.95	4.-		11.09.95	10.-	
	11.09.95	4.-	28. Piel Stanisław Rzeszów	11.10.95	10.-	
9. Pobóg-Spolski Adam, Niemce	12.09.95	20.-		(TML kościół w Przemyslanach)		
10. Tarnawski Stanisław, Poznań	13.09.95	10.-			11.09.95	10.-
11. Zaręba Leon, Rabka	15.09.95	10.-	29. Żurowska-Gangi Maria, Toruń	19.10.95	5.-	
12. Frankowska Zofia, Ustrzyki Dolne	18.09.95	2.-		20.09.95	5.-	
13. Hanuszewski Andrzej, Pyskowice	18.09.95	30.-	30. "Semper Fidelis" Perth Amboy NJ, USA	21.09.95	500\$.-	
14. Mokonek Wiktor, Jelenia Góra	21.09.95	20.-	31. Klub TML i KPW, Świdwin	27.09.95	65.-	
15. Niesiołowski Andrzej, Warszawa	25.09.95	5.-		(Odbudowa cmentarza Orląt)		
	25.10.95	5.-	32. Grochola Ziolkowski, Kraków	20.10.95	37.-	
16. Barkowski E., Akielaszek J., Głogów	26.09.95	100.-	33. Łoś Stanisław, Wilczyn Leśny	17.05.95	10.-	
17. Bielecki Kazimierz, Legnica	26.09.95	20.-	34. Restauracja Dawnych Polsk.			
18. Adles Edward, Kraków	13.10.95	3.-	CONGRESS ETS HAMILTON,			
	26.09.95	6.-	Kanada	21.11.95	9.089\$	
19. Suchecki Bronisław, Wrocław	8.09.95	10.-		(Odbudowa cmentarza Orląt)		

Wszystkim Szanownym Ofiarodawcom składamy serdeczne podziękowania.

Od Wydawcy

Wszystkim Ludziom Dobrej Woli, którzy w dniu święta Zmarłych na cmentarzach całej Polski wrzucali choćby najmniejsze grosiki do naszych puszek, przyczyniając się tym do odbudowy jednej z najwspanialszych nekropolii wojskowych — Cmentarza Orląt Lwowskich, w barbarzyński sposób zniszczonego czołgami 25 sierpnia 1971 r. — składamy staropolskie — stokrotne Bóg zapłać!

Wszystkim Osobom, które ofiarnie podjęły się kwestowania na cmentarzach w całym kraju, często w deszczu i chłodzie — składamy najserdeczniejsze podziękowania.

Panu dr. A. Juzwence, dyrektorowi Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Wrocławiu dziękujemy serdecznie za udostępnienie materiałów potrzebnych do wydania kalendarza kresowego na rok 1996.

Panu Tomaszowi Kozłowskiemu z Warszawy, właścicielowi pięknej kolekcji pocztówek z Kresów Wschodnich pięknie dziękujemy za ich wypożyczenie do wydanego przez nas kalendarza kresowego.

Panu dr. Michałowi Nikosiewiczowi z Warszawy, wytrwałemu zbieraczowi i znawcy dokumentów i materiałów do monografii o rodzinnym mieście Tłumaczu — za przekazane nam zbiory serdecznie dziękujemy.

Przypominamy, że prenumerata dwumiesięcznika "Semper Fidelis" wynosi za rok 1996 — 18,00 zł; za "Gazetę Lwowską" — 15,00 zł; za "Dziennik Kijowski" — 15,00 zł.

Kalendarz kresowy na 1996 r. z herbami miast kresowych i reprodukcjami pocztówek z 28 miast kresowych jest do nabycia w naszej siedzibie we Wrocławiu przy ul. Ruskiej 32/33 I p.

Prowadzimy sprzedaż wysyłkową. Kalendarz można też nabyć w 85 Oddziałach i Klubach TML i KPW w całym kraju i w księgarniach Ossolineum.

Prowadzimy zbiórkę pieniężną na zakup paczek gwiazdkowych dla polskich dzieci za wschodnią granicą (konto: Bank PKO IV O/Wrocław, nr 93549—10012—132—3 z dopiskiem "gwiazdka"). Przyjmujemy też paczki żywnościowe ze słodyczami, zabawkami, książeczkami i dobrymi ubrankami z zaznaczeniem wieku i płci dziecka. Prosimy też załączyć życzenia świąteczne. Paczki przyjmujemy codziennie oprócz sobót i świąt w godz. od 13 do 16 w siedzibie Fundacji Kresowej SF we Wrocławiu przy ul. Ruskiej 32/33 I p.

Nasi Rodacy tam pozostali znajdują się w ciężkich warunkach i oczekują od nas wyrazów pamięci, przynajmniej w okresie świąt.

Wszystkiego najlepszego z okazji Świąt Bożego Narodzenia oraz pomyślności w Nowym Roku wszystkim Kresowianom oraz Rodakom na Wschodzie i na Zachodzie przesyła:

**Rada Fundatorów i Zarząd Fundacji Kresowej
Semper Fidelis**